Piętno Norwida

3

Ciechanowskie Zeszyty Literackie

Piętno Norwida

Ciechanowskie
Zeszyty Literackie
Nr 3

Związek Literatów Polskich
Oddział w Ciechanowie

Ciechanów 2001

Redaktor:
Teresa Kaczorowska

Kolegium redakcyjne:
Alfred Borkowski, Henryk Kaczorowski,
Teresa Kaczorowska, Stanisław Kęsik

Redakcja graficzna, projekt okładki:
Robert Kołakowski

Korekta:
Wanda Kalinowska

Tom wydany przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta w Ciechanowie

ISBN 83-915905-0-X

Skład i łamanie: RASTER studio, Ciechanów, ul. Reutta 9/40
Druk: Zakład Poligraficzny „Graf-Druk"
Ciechanów, ul. Gostkowska 39L

Od redakcji

Cieszymy się, że w pierwszym roku XXI wieku możemy zaprezentować nowy zeszyt literacki Oddziału Związku Literatów Polskich w Ciechanowie. Już trzeci z kolei, gdyż dzięki pomocy finansowej Urzędu Miasta od trzech lat zeszyty możemy wydawać co rok.

Przypomnijmy, że Oddział ZLP w Ciechanowie powstał w październiku 1997 r. Jego pierwsi członkowie to: Janina Boniakowska, Alfred Borkowski, Teresa Kaczorowska, Stanisław Kęsik i Grzegorz Roszko. Dziś jest już nas ośmioro. W 2000 r. komisja kwalifikacyjna ZG ZLP w Warszawie przyjęła w nasze szeregi poetkę ludową spod Mławy Barbarę Krajewską. Z kolei w tym roku przybyli do naszego oddziału Leszek Aleksander Kociszewski z Ciechanowa (historyk, dr nauk humanistycznych, regionalista) i Igor Kantorowski (poeta z Płońska). Być może za rok znowu się rozrośniemy i przestaniemy już być jednym z mniej licznych wśród istniejących 19 oddziałów ZLP w kraju.

Ciechanowski Oddział ZLP rozwija się więc, przybywa nam nie tylko członków, ale także utworów, doświadczeń, kontaktów; dlatego i zeszyty literackie stają się z każdym rokiem coraz bogatsze, bardziej ambitne i ciekawe. Nasz trzeci zeszyt literacki jest w porównaniu z poprzednimi najobszerniejszy. Prezentuje prozę i poezję aż 20 autorów, i to nie tylko z kręgu Związku Literatów Polskich. Po raz pierwszy zaprosiliśmy do współpracy, co prawda młodsze od nas, drugie istniejące na ziemi ciechanowskiej ugrupowanie literackie - Mazowiecki Oddział Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza w Opinogórze. Stąd teksty jego prezesa dr Henryka Kaczorowskiego, wiceprezesa Janusza Królika i polonisty Mariusza Stawickiego. Cieszymy się ogromnie z tej współpracy, gdyż literatów w naszym regionie nie jest wielu, winni się więc wspierać.

Na łamach tego zbiorku są też utwory uznanych autorów z naszego regionu: Zofii Humięckiej, Mariusza Musiała i Marka Piotrowskiego z Ciechanowa, Wojciecha Łęckiego z Płocka,

Artura Maciaka z Przasnysza oraz pięciorga poetów z Warszawy: Juliusza Erazma Bolka, Izabelli Bozik-Dempniak, Zdzisława Brudnickiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego i Kazimierza Świegockiego. Po raz pierwszy można też przeczytać strofy zagranicznego poety, tj. Jana Brodala z Norwegii, z którym po odwiedzinach naszej ziemi się zaprzyjaźniliśmy. Również w następnych zeszytach literackich zamierzamy prezentować twórczość najlepszych autorów z terenu Mazowsza lub związanych z naszym regionem.

Najwięcej utworów w tegorocznym zeszycie poświęconych jest Cyprianowi K. Norwidowi, stąd tytuł "Piętno Norwida". Sylwetkę, twórczość i filozofię, a także niektóre grafiki tego poety i plastyka przypominamy w części pierwszej tego zbiorku, pragnąc w ten sposób uczcić Rok Norwidowski. Postać tego artysty przybliża najpierw Janusz Królik. Natomiast studiowaniem filozoficznej i społecznej myśli poety zajął się w wiodącym w tym tomie eseju Kazimierz Świegocki, dowodząc, że idąc śladami Ewangelii był Norwid nauczycielem narodu. Z kolei Zdzisław Brudnicki rozczytuje się w jego twórczości pod kątem czynu i ojczyzny, zaś Mariusz Musiał zastanawia się czy Norwid był bardziej pozytywistą, czy romantykiem. Poza prozą jest też kilka utworów poetyckich, które wracają szczególnie do cenionych przez Norwida wartości, jak: prawda, wiara, ład moralny.

Ale poza utworami inspirowanymi twórczością Norwida Czytelnicy znajdą w tym zbiorze wiele innej ciekawej poezji i prozy. Henryk Kaczorowski przypomina w swym przekrojowym eseju, że w bieżącym roku polski noblista Czesław Miłosz obchodził swe 90. urodziny. Mariusz Stawicki zastanawia się, kim był Witold Gombrowicz. W tomiku tym są też opowiadania niezbyt wesołe, sięgające czasów PRL (Alfreda Borkowskiego), jak i zabawne (Juliusza Erazma Bolka). Teresa Kaczorowska pokazała w jednym reportażu sylwetkę niekonwencjonalnego nauczyciela polonisty, twórcy „nasielskiej szkoły kabaretowej", którego działalność w pewien sposób zaowocowała nad Łydynią Ciechanowską Sceną Kabaretową; natomiast w drugim przybliża ducha epoki napoleońskiej.

Ponadto Czytelnicy znajdą wiele rozmyślań i refleksji w zamieszczonych tu wierszach: o czasie, przemijaniu, powrotach do krajobrazów dzieciństwa i młodości, o pięknie przyrody, o Bogu.

Wydajemy ten zeszyt w niełatwym czasie, kiedy na naszych oczach walą się wszystkie systemy wartości. Może dzięki temu, iż nosi on „piętno Norwida" przyda się dziś bardziej niż kiedykolwiek. Aby przystanąć na chwilę, zamyślić, zapytać kim jesteśmy. Oby słowa z „Promethidiona" Norwida: *„Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej"* miały, choć odrobinę, odniesienie do naszej małej Ojczyzny.

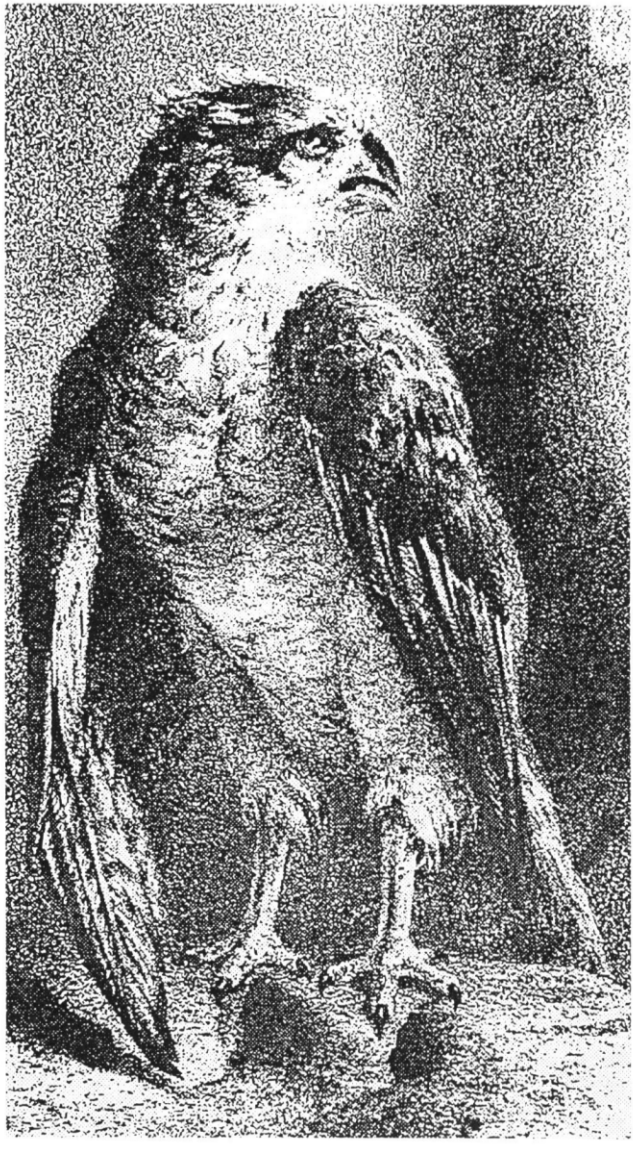

Cyprian K. Norwid: „Orzeł na skale", litografia, lata sześćdziesiąte XIX w.

Norwida drogi do sztuki

Cyprian Kamil Norwid był nie tylko poetą, dramatopisarzem i prozaikiem, uprawiał też malarstwo, rzeźbę, rysunek i rytownictwo, posiadał nieprzeciętne zdolności do języków i rzekomo niepoślednią wrażliwość muzyczną. Przy tak wielu talentach nauki szkolne pobierał zaledwie do piątej klasy gimnazjum, dalszą wiedzę zdobywał już jako genialny samouk.

Urodził się 24 września 1821 roku w Laskowie - Głuchach. Kiedy miał cztery lata, umarła mu matka. Z trojgiem rodzeństwa przeszedł pod opiekę prababki Hilarii Sobieskiej mieszkającej w pobliskim Strachówku.

Powstanie listopadowe wraz z ojcem Janem i rodzeństwem spędzał w Warszawie. Tu Cyprian i jego starszy brat Ludwik we wrześniu 1831 r., już po upadku powstania, zdali egzamin do drugiej klasy gimnazjum. W roku tym wrzesień rozpoczął się tragicznie. Szóstego dnia na szańcach Woli poległ bohaterską śmiercią gen. Józef Sowiński, a wkrótce potem jak donosił „Kurier Warszawski": „Wojsko Polskie z bronią, armatami i amunicją zaczęło wychodzić na Pragę, poczem Prezydent miasta w otoczeniu Prezesa i Deputacji Rady Municypalnej przy rogatkach Jerozolimskich witał chlebem i solą Cesarzewicza Michała". Niemniej w połowie tego miesiąca otwarto szkoły. Komisja Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zgodnie z zaleceniami Petersburga, za najważniejszą uznała sprawę szkolnictwa. W następnym roku obydwaj Norwidowie otrzymali promocje do klasy trzeciej, ale z niewiadomych przyczyn na cały rok musieli przerwać naukę. Być może ojciec zabrał ich wtedy do Mariampola, gdzie został komisarzem obwodowym. Na stanowisku tym miał takie osiągnięcia w „chwytaniu bandytów, włóczęgów oraz uchylających się od służby wojskowej", że już w następnym roku mógł powrócić do Warszawy, gdzie został kasjerem w Dyrekcji Generalnej Poczt.

Synów zapisano ponownie do klasy trzeciej, ale tym razem w Wojewódzkim Gimnazjum Warszawskim przy Krakowskim Przedmieściu. Z relacji Cypriana wiemy, że wtedy, na imieniny ojca 24 czerwca, wręczył mu pięknie wymalowaną na atłasie różę, co jak sam powiedział było jego „pierwszym krokiem artystycznym w świecie". Widać zatem, że zainteresowania chłopca wychodziły już poza obowiązkowy program nauczania. Zapewne wraz z całą Warszawą cieszył się on z otwarcia gmachu Teatru Wielkiego przy placu Marywilskim. Natomiast smucił, kiedy 26 listopada „na zwyczajnym placu egzekucji, pomiędzy rogatkami Jerozolimskiemi i Wolskiemi powieszono 25-letniego Artura Zawiszę". Kilku kolegów Norwida pobrało wówczas na pamiątkę drzazgi z szubienicy skazańca i grudki ziemi splamione krwią, za co poddani zostali publicznej chłoście na dziedzińcu Liceum - on sam był świadkiem wykonywania tego wyroku. Następny rok 1834 przyniósł kolejną zmianę w rodzinie. Ojciec pojechał do Mińska, a synowie znów przerwali naukę i nie otrzymali promocji do klasy czwartej. Dokonali tego dopiero w 1835 r. Wtedy Cyprian wyraźnie już „ujawniał talent rysowniczy, chociaż główną cechą onego była nadzwyczajna zdolność do odtwarzania karykatur, często arcydowcipnych nawet". 8 listopada 1836 r., gdy był w klasie piątej, w budynku pomuzealnym na terenie dawnego uniwersytetu, czyli w obrębie „norwidowskiego" liceum, otwarto szóstą z kolei Wystawę Sztuk Pięknych. Nie była to może najlepsza i największa ekspozycja, bo w dziale malarstwa prezentowało swoje prace zaledwie szesnastu artystów i trzy artystki oraz dziesięciu uczniów, dziewięć amatorek i dwunastu amatorów, ale o kilku pracach krytycy wyrażali się nader pochlebnie. Do takich zaliczali „Edypa i Antygonę" i „Gniew Saula na Dawida" Antoniego Brodowskiego, weduty Marcina Zalewskiego oraz obrazy Januarego Suchodolskiego i Aleksandra Kokulara.

Nie ulega wątpliwości, że Norwid niejeden raz na tę wystawę wstępował. Miał tam również swego ulubionego malarza Jana Klemensa Minasowicza, który wystawiał „Głowę Chrystusa" (kopię z Guido Reniego), „Wnętrze katedry warszawskiej podczas

nabożeństwa żałobnego za duszę Cesarza Aleksandra I", „Wnętrze pracowni artysty w Paryżu" i jeden portret. Minasowicz był uczniem Antoniego Brodowskiego i Antoniego Blanka. Odbył już studia artystyczne we Włoszech i Paryżu, a obok malarstwa sztalugowego zajmował się także grafiką. Uznawany on jest za pierwszego nauczyciela Norwida. Według niego Minasowicz był „niepospolitym artystą o szerokim umyśle i niemałym talencie".

Na ile zetknięcie to z prawdziwą sztuką mogło mieć wpływ na wybór drogi życiowej Norwida, trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Faktem jest, że w 1837 r. nie otrzymał już promocji do klasy szóstej, że chorował i „dla słabości zdrowia nie rysował". Ostatecznie wstąpił do prywatnej szkoły malarskiej Aleksandra Kokulara, mieszczącej się w wynajętym mieszkaniu w pałacu gen. Wincentego Krasińskiego przy Krakowskim Przedmieściu 410.

Aleksander Kokular był nie tylko uznanym malarzem, ale także jednym z pierwszych mieszczańskich kolekcjonerów. W jego prywatnej galerii można było oglądać 177 obrazów wybitnych malarzy europejskich, a równolegle ze wspomnianą wystawą w swojej „malarni" urządził on wystawę prac własnych i prac swoich uczniów połączoną ze sprzedażą. Podobnie postępowali Jan Minasowicz i Franciszek Pfanhauser. W tym czasie rodziło się już polskie malarstwo i tworzył się rynek antykwaryczny.

Tymczasem 17 czerwca 1838 r. w salach warszawskiego ratusza otwarto kolejną wystawę sztuki, już połączoną z wystawą wyrobów przemysłowych. Była to prezentacja bogatsza od poprzedniej. W dziale malarstwa, rysunku i grafiki pokazano 200 prac, a w dziale rzeźby dziesięć prac. Recenzenci ponownie wysoko ocenili obrazy Januarego Suchodolskiego, który pokazał dziesięć dzieł, i Marcina Zalewskiego, który dostarczył aż 19 płócien. Ale tak jak i poprzednio najwyżej stawiali Aleksandra Kokulara. O ulubieńcu Norwida Janie Minasowiczu jedynie wzmiankowano, że jego portrety są powszechnie chwalone.

W osiemnastym roku życia Norwid wyraźnie już wkraczał na drogę kariery artystycznej. Chcąc doskonalić swoje umiejętności rysunkowe, od 1839 r. dodatkowo zaczął uczęszczać na ćwiczenia

do Pałacu Kazimierzowskiego. W 1840 r. miał swój debiut poetycki, drukując na łamach „Piśmiennictwa Krajowego" wiersz zatytułowany „Mój ostatni sonet". Po nim opublikowano inne, ostatecznie w ciągu całego roku wydrukował aż dziesięć wierszy i jedno opowiadanie zatytułowane „Łaskawy opiekun, czyli Bartłomiej Alfonsem". Wszystkie pod kryptonimem C. N. Poszerzał się również krąg przyjaciół. Nawiązał kontakty z „Cyganerią warszawską", przyjaźnił z Eleonorą Ziemięcką zwaną „filozofem w spódnicy", Marią Steinkeller, Joanną z Wulfersów Kuczyńską, Władysławem Wężykiem - bogatym ekscentrykiem, Augustem Wilkońskim- mężem Pauliny, która prowadziła jeden z najgłośniejszych salonów literackich w Warszawie; filozofem Augustem Cieszkowskim i wieloma innymi.

W środowisku warszawskim Cyprian Norwid stawał się postacią sławną. Albert Potocki w liście do braci Koźmianów wystawił mu bardzo wysoką ocenę za jego poezje i zaznaczył, że „przy tym ma nadzwyczajny talent do malowania". Podobnie oceniali go wszyscy współcześni, mówiąc: „oprócz talentów poezji miał jeszcze talent malarstwa. Celował szczególnie w robieniu szkiców... Szkice jego nierzadko były wesołymi szarżami i wielkim się cieszyły powodzeniem. Zabierał się czasami do obrazów, ale brakło mu cierpliwości na ich wykończenie. Miał także talent do rzeźbiarstwa i muzyki". Po mieście krążyło powiedzenie: „Norwidzie wiek Twój idzie".

W pierwszych dniach sierpnia 1841 r. wraz z Władysławem Wężykiem wyruszył z Warszawy w „romantyczno - próżniacko -naukową" podróż, której trasa wiodła przez Piotrowice - Czarnolas - Zwoleń - Sandomierz - Łysą Górę - ziemię sieradzką i wieluńską, aż do Częstochowy. Ta podróż stwarzała kolejną okazję do zawierania znajomości i dostarczyła wiele rysunków, którymi zapełniał nieodłączny w takiej wędrówce szkicownik. W październiku Norwid wykonał kilka ilustracji do opowiadań Kraszewskiego; pomogły mu wizerunki historycznych budowli, które podczas podróży szkicował. W tym roku dzięki pośrednictwu lekarza Karola Reinhardta poznał kolejnego artystę malarza, Wincentego Smokowskiego. Niedawno przeniósł się on z Wilna do Warszawy, był lekarzem, ale

Cyprian K. Norwid: Autoportret („dolce far-niente"), rysunek, 1845 r.

ukończył też studia artystyczne w Petersburgu i tam ilustrował mickiewiczowskiego „Konrada Wallenroda". Smokowski był malarzem historycznym, ale uprawiał również krytykę artystyczną i był autorem życiorysów Orłowskiego, Rustema i Wańkowicza. Wysoko cenił polskie malarstwo, co mogło z powodzeniem zachęcać ku tej profesji także i Norwida.

W 1842 r., czyli w dwudziestej pierwszej wiośnie życia, Norwid starał się o pozwolenie na wyjazd za granicę celem „wydoskonalenia w sztuce rzeźbiarskiej". Dlaczego w tej sztuce, a nie w malarstwie, którego przecież przez kilka lat uczył się w pracowni Kokulara, czy w rysunku, który od dawna ćwiczył? Na to pytanie trudno jest dziś odpowiedzieć, ale zapewne musiał i niemało rzeź-

bić, skoro swój wniosek o paszport z [illegible] konkretnym dorobkiem udokumentować. Paszport z ważnością na trzy lata otrzymał w maju i wkrótce wraz z Władysławem Wężykiem wyruszył z Warszawy, aby jeszcze przed przekroczeniem granicy na miesiąc zatrzymać się w Krakowie. Tu za pośrednictwem Michała Wiszniewskiego poznał dwóch wybitnych malarzy: Wojciecha Stattlera i Jana Nepomucena Głowackiego. Dwie prace: „Machabeusze" Stattlera i „Morskie Oko" Głowackiego niepomiernie go oczarowały. Zwiedził również Bibliotekę Jagiellońską i okolice Krakowa. Ostatecznie w końcu czerwca, koleją przez Wrocław, wyjechał do Drezna, aby już nigdy na teren Królestwa nie powrócić.

Kiedy więc ten pociąg uwożący Norwida ku obcym krajom zniknął już za horyzontem, powróćmy raz jeszcze do Warszawy, aby dokładniej poznać środowisko, z którego wyszedł, i miejsca, gdzie formował się jako poeta, malarz, rzeźbiarz i rysownik. Nie dokonywało się to bowiem w próżni czy izolacji, a wręcz przeciwnie - w samym centrum polskiego życia politycznego i kulturalnego.

Druga połowa lat trzydziestych i lata czterdzieste były w dziejach Warszawy i kraju okresem szczególnie ponurym. Ponad dziesięć tysięcy Polaków przymusowo lub dobrowolnie po upadku powstania wyszło na emigrację, a ci, którzy pozostali, skazani byli na represje ze strony władz rosyjskich. Ukazy carskie wprowadzały coraz to nowe obostrzenia, dochodząc do tak paradoksalnych pomysłów jak zakaz używania barw narodowych w strojach. Prowadzono kasację majątków, rusyfikowano szkoły, żądano dowodów szlachectwa, wprowadzono ostrą cenzurę, aresztowano za najmniejsze podejrzenie działań na szkodę Rosji i systematycznie zsyłano na Sybir. Takie ostre represje zmuszały społeczeństwo polskie do wymyślania nowych form i kolejnych sposobów samoobrony oraz organizowania zakonspirowanego życia podziemnego. Wprawdzie już wcześniej, po procesach Filomatów i Filaretów, jechały na Sybir więzienne kibitki, ale wtedy były to zjawiska sporadyczne. Teraz stało się to programem. Dlatego młodzież, która pozostała w Królestwie po „Kolumbach rocznik 10", można nazwać

„Kolumbami rocznik 20", bo to oni wypracowali program walki podziemnej, dzięki której można było przez następne dziesiątki lat niewoli bronić własnej godności i tożsamości narodowej. Należało zatem uczyć się kamuflażu i konspiracji, umieć oszukać cenzurę, czytać między wierszami, odróżniać szpiegów i prowokatorów od prawdziwych patriotów, a nawet potrafić zachowywać tajemnicę za cenę własnego życia. Tak jak to uczynił przyjaciel Norwida Karol Levittoux, który popełnił samobójstwo w celi więziennej z obawy, że nie wytrzyma męczarni zadawanych w trakcie śledztwa. W takim to trudnym okresie formował się Norwid. Dlatego gdy przed wyjazdem napisał wiersz „Pożegnanie" i wraz z kompletem innych wierszy za pośrednictwem Wincentego Smokowskiego przesłał Józefowi Kraszewskiemu z prośbą o opublikowanie w „Atheneum", ten odpowiedział, że wie o rysowaniu Norwida, ale o jego filozofii wyrażał się dość sceptycznie, uważając go za sofistę, podobnie jak wszystkich warszawiaków. Zapewne autor „Starej baśni" nie mylił się w tej ocenie, nie wyjaśnił jednak, że to były pierwsze wypracowania tego młodego pokolenia konspiratorów.

W latach czterdziestych obraz Polski odbierany nad Sekwaną różnił się od wizerunku, jaki formowało życie nad Wisłą. Emigracyjny, budowany ze wspomnień walk powstańczych i klęski, z czasem przeobrażał się w wizerunek martyrologiczno - mesjanistyczny. Natomiast krajowy i codzienny był może bardzo brutalny, ale konkretny i realny. Oficjalnie formowali go zaborcy i na to społeczeństwo polskie nie miało większego wpływu, ale ten stan zmuszał do budowania własnej, podziemnej ojczyzny o innym obliczu. Dlatego każdy Polak, mówiąc o Polsce, zawsze rozumiał ją w kształcie przedrozbiorowym, a Warszawę zawsze traktował jako stolicę kraju.

Dalsze drogi Norwida były równie kręte i nie do końca czytelne. Często o ich przebiegu decydował przypadek. Podróż, którą rozpoczął, była typowo artystyczna. Zwiedził Drezno, Pragę i Norymbergę, dłuższy czas zatrzymał się w Monachium, gdzie odwiedzał muzea, galerie i pracownie malarzy. Tu poznał Aleksandra Lessera, artystę, który jako jeden z pierwszych podejmował tematy z współ-

czesnej historii Polski, między innymi był on autorem „Pogrzebu pięciu ofiar 1861 r.". Z Monachium udał się do Włoch. W Wenecji skontaktował się z polskimi malarzami - Tytusem Byczkowskim, człowiekiem bardzo pogodnym, który w rok później z niewiadomych powodów odebrał sobie życie, i z Antonim Kolbergiem, dawnym kolegą z pracowni Kokulara. We Francji spotkał Antoniego Zaleskiego, również przyjaciela z pracowni Kokulara, który nieustannie ilustrował dzieła Paska, „Grażynę", „Konrada Wallenroda", „Panią Twardowską" i „Pamiętniki Soplicy". We Florencji od malarza włoskiego Giuseppe Bezzwolego otrzymał list polecający otwierający mu drogę do pracowni Luigi Pampaloniego, wybitnego rzeźbiarza, ucznia Canovy. Rzeczywiście miasto to było dla Norwida prawdziwą szkołą artystyczną, uczył się nie tylko sztuki rzeźbienia, ale doskonalił w rysunku i uczył technik graficznych. Zwiedzał pracownie rzeźbiarskie Bartoliniego, Santerelliego, Castoliniego, Dupre. Studiował literaturę - Dantego, Michała Anioła, Torgato Tasso, Salvatora Rosa, Benvenuto Celliniego i innych. Uczęszczał na przedstawienia w Teatro del Cocomero i Teatro Leopoldo. Odwiedzał kawiarnie i czynnie uczestniczył w życiu towarzyskim.

W maju wraz z Antonim Zaleskim na pewien czas wyjechał do Rzymu, gdzie uczestniczył w zbiorowej audiencji u papieża Grzegorza XVI i poznał Ludwika Orpiszewskiego, agenta Hotelu Lambert. Z Rzymu podążył do Neapolu i Pompei, aby w lipcu ponownie wrócić do Florencji. Przebywał tu do końca 1844 r., doskonaląc się w sztuce rzeźbiarskiej, między innymi w pracowni Pio Fedi i w grafice Nincenzo della Bruna, pod którego kierunkiem wykonał samodzielnie pierwsze akwaforty.

Z każdym miesiącem coraz dokładniej poznawał rzemiosło i coraz pewniej czuł się samodzielnym artystą. Gdy na początku 1845 r. przeprowadził się z Florencji do Rzymu, wynajął osobne mieszkanie połączone z pracownią rzeźbiarską i stał się postacią popularną. Nawiązał bliskie kontakty z Potockimi i Krasińskimi - Karolem i Zygmuntem, z którym w przyszłości miała go połączyć serdeczna przyjaźń.

Z Rzymu w drugiej połowie roku przez Triest i Wielkopolskę udał się Norwid do Berlina, gdzie przez pewien czas uczęszczał na uniwersytet i słuchał wykładów z filozofii. Tu pracował nad projektem pomnika Jana Kochanowskiego przeznaczonego dla Krakowa. W Berlinie intensywnie studiował w bibliotekach. Tu również w 1846 r. został aresztowany i osadzony na miesiąc w więzieniu. Był to jeden z tych dziwnych przypadków, jakie często nawiedzały Norwida i zmieniały bieg jego życia. Rzeczywiście kilka razy wyjeżdżał on z Berlina na teren Wielkopolski w 1845 i 1846 roku i mógł być przez władze pruskie i ambasadę rosyjską posądzany o kontakty z organizatorami ruchów wolnościowych w kraju. O aresztowaniu zdecydował po prostu brak paszportu, który ofiarował Maksymilianowi Jatowttowi, chcąc ułatwić mu podróż do Francji. Przyjaciele berlińscy zdołali go uwolnić z więzienia, lecz incydent ten bezpowrotnie zamknął mu drogę do kraju i uczynił zeń emigranta politycznego. Jedzie zatem do Ostendy celem ratowania zdrowia, a następnie do Brukseli, gdzie studiuje w Muzeum Sztuk Pięknych i przygotowuje się do wykonania bliżej niewiadomego „wielkiego obrazu". W 1847 r. wybiera się do Rzymu, gdzie Ksawery Branicki obiecuje mu „dużą pracę" artystyczną, tam też pracuje nad dwoma symbolicznymi obrazami: „Chrystus błogosławiący z krzyża" oraz „Męczeństwo chrześcijan w Colosseum". Ten drugi obraz przenosi z dużego kartonu, na którym jest około 30 figur naturalnej wielkości. Zapewne był to nieznany bliżej fresk, jaki wykonywał na zamówienie. W tym pracowitym okresie Norwid systematycznie pogłębiał swoją wiedzę na temat sztuki starożytnej nie tylko przez studiowanie źródeł, ale i wycieczki do Katakumb, Colosseum i dawnych świątyń rzymskich.

W grudniu doczekał się wreszcie pochlebnej recenzji braci Koźmianów w „Przeglądzie Poznańskim". Pisali, że jest on beletrystą, krytykiem, poetą, rzeźbiarzem i malarzem, a rozproszenie zainteresowań i talentów bynajmniej nie wpływa na osłabienie głębi jego utworów, że jedno drugie wzmacnia, rozpłomienia i tworzy równowagę oraz pewną nienaruszalną jedność. W swo-

jej rzymskiej pracowni organizuje Norwid sobotnie herbaty literacko - artystyczne, na których bywa wiele sławnych osób z Polonii. Na jednym z takich posiedzeń odczytuje swój tekst o „przedmiocie sztuki". Nieustannie prowadzi dysputy filozoficzne, między innymi ostro polemizuje z Adamem Mickiewiczem. Jest to gorący okres. W nocy z 29 na 30 kwietnia 1848 r., podczas rozruchów, do jakich doszło na ulicach Rzymu, Norwid wraz z Zygmuntem Krasińskim biegnie na Kwirynał, aby bronić zagrożonego przez masy plebejskie papieża Piusa IX. W uznaniu za taką postawę w pierwszych tygodniach maja zostaje zaproszony na audiencję u papieża, aby wraz z pięćdziesięcioma wybranymi otrzymać odpust zupełny. Dla Norwida było to bardzo ważne wydarzenie, ponieważ na całej drodze dochodzenia do prawdy zawsze przestrzegał on zasad Dekalogu. Nie przysparzało mu to popularności w czasach, kiedy hasła walki o wolność i wyzwolenie narodów były tak powszechne, a bulla papieża Grzegorza XVI nakazywała Polakom posłuszeństwo carowi. Niemniej Norwid nigdy nie zachwiał się w swojej wierze i tematy religijne obok mitologicznych zawsze były treścią jego dzieł.

W końcu sierpnia 1848 r. Norwid odbył jeszcze jedną turystyczno - artystyczną podróż: przez Neapol, Palermo, Morze Śródziemne i Egejskie na Kretę. Po powrocie do Rzymu był świadkiem, jak 24 listopada lud rozpoczął kolejne natarcie na Kwirynał, które teraz zmusiło już papieża do ucieczki z miasta. W końcu roku kończył się pobyt Norwida w Wiecznym Mieście. Kończył się również pogodny okres jego życia, wypełniony pracą artystyczną i wieńczony sukcesami. W pierwszych tygodniach lutego 1849 r. wyrusza w podróż do Paryża, miasta, w którym miał doznać wielu rozczarowań i klęsk, systematycznie pogrążać w ubóstwie, aby wreszcie zakończyć życie w schronisku dla ubogich. W tym Domu św. Kazimierza zapewne niejeden raz wspominał z rozrzewnieniem słoneczny okres warszawsko - rzymski, czas, który rokował nadzieje na sławę i popularność. Niestety, ta przyszła do niego dopiero wiele lat po śmierci.

Piętno Norwida

Niech nie pamiętają
-bo tak jest-
Dat, tytułów, bohaterów, zdrajców
I skąd taka godność czasami, i miłość wielka
Z którą spać się nie da.

Niech tam leją się po mordach
Na ulicy odpustowej
Bo tak zawsze było.

Niech zapiszą pokrętnymi rymami
Antologie wierszokletne
Niech ...

Przesiadają się w narodowej wszawicy
Od prawicy do lewicy
Niech ...

Rozdzielą między siebie Jezusa i Łotra
Bo tak być musi
A z zagrodowej Europy popędzą
Rosjanina, Niemca, Żyda
Niech ...

I tylko jedno powinni mieć w sobie na zawsze
Jak skarb imienny po chrzcie
- piętno Norwida.

Norwid - nauczyciel narodu

Norwid należał do tego pokolenia Polaków, które jedynie w dzieciństwie przeżyło Powstanie Listopadowe, któremu więc nie dane było uczestniczyć w zbrojnym patriotycznym czynie bezpośrednio; które zatem miało powody czuć się odsuniętym przez zewnętrzne okoliczności od uczestniczenia w procesie historycznym, w aktywnym i podmiotowym kształtowaniu dziejów własnego narodu. Dodatkowym źródłem pełnego frustracji samopoczucia Polaków Norwidowego pokolenia były, prócz okoliczności ściśle historycznych, również powszechne wówczas romantyczne poglądy na historię oraz na tak zwaną sprawę narodową, według których jedynie udział w wyjątkowych, wielkich wydarzeniach historycznych czynił jednostkę i całe pokolenia aktywnymi uczestnikami i współtwórcami dziejów narodu i dziejów świata.

Jeszcze w latach czterdziestych, a więc po upływie kilkunastu lat od klęski listopadowej, Adam Mickiewicz w prelekcjach paryskich będzie głosił konieczność zbiorowej ofiary dla zbawienia własnego narodu i tą drogą zbawienia świata, czyli całej ludzkości. W myśl jego mesjanistycznej idei Polska ma do spełnienia wielką chrześcijańską i historyczną misję. Ta jednak wymaga śmierci i odrodzenia narodu polskiego. W tej historiozoficzno-eschatologicznej perspektywie Powstanie Listopadowe, jak i wszelkie mogące się w przyszłości wydarzyć tego rodzaju czyny narodowe zyskiwały pełne uzasadnienie i głęboki metafizyczno-religijny sens. Nauczał też Mickiewicz - a zwolenników miał wielu zwłaszcza wśród patriotycznej młodzieży - że „sprężyną całej historii narodu polskiego" była „egzaltacja", czyli szlachetny zapał i entuzjazm. Powiadał, że Polacy „wszyscy w wielkich chwilach działania byli zawsze ludźmi egzaltowanymi"[1]. Jego nauka była apoteozą czynu

1 Cyt. za antologią: *700 lat myśli polskiej. Filozofia i myśl społeczna w latach 1831-1864. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Walicki*, PWN, Warszawa 1977, s. 552.

heroicznego, który pojmowała jako wydarzenie i zjawisko wyjątkowe, o cechach wzniosłości i patosu. W praktyce wydarzenia takie należały do kategorii wojennych, powstańczych, w każdym bądź razie takich, które wymagały ofiary nie tylko ze szczęścia osobistego, ale i z życia.

Podobne poglądy wyznawał Juliusz Słowacki, formułując je w postaci spirytualistycznego rewolucjonizmu (przypomnijmy choćby tylko „ducha wiecznego rewolucjonistę" z „Odpowiedzi na *Psalmy przyszłości*"). Słowem atmosfera intelektualna ówczesnej polskiej emigracji była nacechowana irracjonalizmem, spirytualizmem i ogólną egzaltacją. Jakaś wielka nadzieja, wbrew historycznym faktom, przepajała serca i umysły znacznej części tej społeczności. Nadzieja, że skoro „duch ludzki w swym prawidłowym pochodzie musi przejść przez narodowość, zanim dojdzie do powszechności"[2] (A. Mickiewicz) - a więc do celu ostatecznego historii i skoro, jak głosili wieszczowie, Polacy są narodem szczególnie predestynowanym do przejęcia w siebie tego ducha, a więc spełnienia misji odkupienia świata, to wobec tego rozwiązanie sprawy polskiej przyjść musi niejako nieuchronnie z głębi metafizycznych przeznaczeń historii powszechnej. Wystarczy tylko uświadamiać sobie tę rewelacyjną prawdę, być czujnym i aktywnie w jej spełnieniu dopomagać. Aktywność ta jednakże zdaje się mieć, jeśli nie wyłącznie, to głównie charakter duchowy, a czujność znów zdaje się być jakby wstępnym warunkiem „egzaltacji".

Społeczna myśl Norwida, choć w niejednym podobna do myśli naszych wieszczów, w zasadzie ukonstytuowała się jako ich przeciwieństwo. Już w „Głosie niedawno do wychodźstwa polskiego przybyłego artysty" w 1846 roku powie, że „ojczyzna jest to moralne zjednoczenie, bez którego partie są jak bandy lub koczowiska polemiczne" (VII, 8)[3] oraz że „niecierpliwość w rzeczach narodowych jest rozdarciem historii" (VII, 9). A w „Memoriale o młodej emigracji" w 1850 roku wystąpił przeciwko kładzeniu

---

2 Tamże, s. 551.

3 Cyprian Norwid, *Pisma wszystkie. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki*, PIW, Warszawa 1973. Cyfra rzymska oznacza tom, arabska - stronę.

„akcentu na wypadkach nadspodziewanych europejskich, na t r a f a c h nieprzewidzianych, a nie na p o s t ę p k a c h" (VII, 108). Sytuację duchową i polityczną ówczesnej emigracji określi jako „ż y w i e n i e n a d z i e i k o s z t e m p r a w d y" (VII, 108). Jego dewizą zaś jest przekonanie, że „nadzieja jest z prawdy", wyrażone już w „Głosie niedawno do wychodźstwa polskiego przybyłego artysty" (VII, 7).

Wynika z tego, że emigracja żyje złudną, fałszywą nadzieją. Zapoznała prawdę narodu i prawdę historii. Jej kardynalny błąd polega na nieuprawnionym pomieszaniu dwóch różnych porządków: doczesnego, ziemskiego i wiecznego, niebiańskiego, na pomieszaniu więc celów ostatecznych, finalnych z doczesnymi. Rezultatem tego jest niemal całkowite rozpuszczenie i rozmycie tego, co podlega czasowi, w perspektywie wieczności. To wszystko powoduje, iż emigracja, a także społeczeństwo w kraju, o ile podziela jej postawy i poglądy, żyje niehistorycznie, to znaczy nie uczestniczy świadomie w realnych procesach kształtowania dziejów świata i własnego narodu. Nie znając bowiem właściwego pulsu, rytmu i logiki historii, pozwala jej dziać się bez swego w niej udziału. Gdy zaś wkracza do niej czynnie, to czyn ów dokonuje się nie w porę, nie przyspiesza więc biegu historii, ale go zwalnia, wytrąca z właściwego rytmu i w ten sposób staje się czynem „niewczesnym", więc nietwórczym. Gdzie indziej nazwie go Norwid „tatarskim czynem" („Promethidion", III, 446).

Do takich historycznych pseudoczynów zaliczał Norwid nasze powstania zbrojne. A przeżył ich trzy. I klęska każdego po kolei utwierdzała go w przekonaniu, że były to czyny „niewczesne" i narodowi niepotrzebne. Nie bez patosu wołał: „A czy jest drugi lud na świecie, co by tyle krwią, mieniem i umysłem niewczesnych podjął już poświęceń?! Tak jest przeszło pół wieku!" („Listy o Emigracji", VII, 24).

Jednakże z licznych jego wypowiedzi na temat polskich zbrojnych powstań narodowych nie wynika bynajmniej jednoznacznie pejoratywna ich ocena. Czynu zbrojnego bowiem Norwid nie potępiał jako takiego. Wystarczy przecież przypomnieć choćby

postać Spartakusa, którego darzył atencją, a także innych wielkich wodzów, nade wszystko zaś Kościuszkę, Sobieskiego, Napoleona i Bema. Potępiał jedynie takie czyny zbrojne, które nie przyspieszały biegu historii, lecz go opóźniały, które więc były nietrafne, w nieodpowiednim momencie dokonane oraz - co może najważniejsze - które nie ujawniały się jako niezastąpiony i ostateczny sposób ratowania wysokich niezbywalnych wartości narodowych i narodowego bytu, a występowały tylko z a m i a s t innych możliwych i koniecznych czynów.

Uważał Norwid, że społeczeństwo polskie nie jest w pełni ani dojrzałe, ani moralnie zintegrowane, że więc egzystuje ciągle na marginesie historii. Jest przez nią raczej kształtowane, niż ją kształtujące. Zanim więc porwie się na jakieś generalne czyny zbrojne, winno się pierwej zastanowić nad możliwością spełnienia czynów o charakterze pokojowym gwoli osiągnięcia oczekiwanych celów. Nie heroicznych czynów i niezwykłych, dla spełnienia których okazje zdarzają się rzadko, lecz skromnych, składających się na życie codzienne i tworzących zwyczajną ludzką rzeczywistość.

Proponuje więc Norwid zwrócenie uwagi polskiej elity intelektualnej dzierżącej ster duchowy narodu na zapomnianą, a niezwykle ważną perspektywę życia. W miejsce romantycznej apoteozy „ducha" wskazuje na konieczność rehabilitacji ciała. W miejsce bohaterstwa walki lub może raczej obok niego i przed nim - b o h a t e r s t w o p r a c y. Wreszcie zupełnie trzeźwo i zdecydowanie radzi nie odwoływać się w doraźnie politycznych sprawach do sił nadprzyrodzonych. „Nie będziesz - powiada w „II Liście o Emigracji" - brał imienia Pana Boga swego nadaremno - ani dla uświęcenia traktatów wiedeńskich, ani dla uświęcenia jakichkolwiek, choćby im przeciwnych" (VII, 21). W tymże „Liście" mówi dalej: „Szanuję też wszystko nie obłudnie, co ofiarniczego, tajemnego w boleściach się Polski zanieciło. Ale byłoby brakiem wiary w naród, ale byłoby patriotyzmem chorobliwym nie orzec otwarcie, iż tych rzeczy do codziennych kwestyj się nie miesza - i do żadnych n i e m i e s z a, ale się z nimi łączy tylko, i to przez dobrego uczynienie" (VII, 24).

Tam też, w „II Liście o Emigracji", wskazuje Norwid, co należy czynić, aby „w c z e s n o ś ć" odszukać, to znaczy, aby działania jednostek i społeczeństwa nie dokonywały się poza logiką biegu historii, na przekór jej, i „ażeby niewczesne poświęcenia nie pochłaniały najgorętszej młodzieży części, krwi, umysłów, łez i pieniędzy (łez symbolu!)" (VII, 24). Ową „wczesność" można jego zdaniem odszukać „przez obrócenie się ku drobnym dzisiejszości pytaniom - ku każdemu pyłowi dnia każdego - w imię tego, co wyżej, co dalej - dalej - jest". Bowiem „emigracyjne wszystkie ruchy niewczesnymi będą (tak jak były), póki (...) wychodźców umysły przeciwwagi w pracy, w prawdzie, w jawności (...) mieć nie będą" (VII, 23).

Z fragmentów wyżej zacytowanych widać, że propozycje Norwida nie idą w kierunku przeciwstawiania pracy walce, ani czynów drobnych, utylitarnych czynom wielkim, lecz o ich harmonijne połączenie w jedną złożoną całość ludzkiej aktywności. Obok pracy, jak widać, stawia Norwid prawdę, zaś „pyłowi dnia każdego", czyli sprawom najdrobniejszym i najbardziej prozaicznym wyznacza transcendentną perspektywę („w imię tego, co wyżej - dalej - jest"). Z tych postulatów wynika w końcu wielki plan edukacji narodu i jego socjalnej organizacji w myśl idei organicyzmu i solidaryzmu.

Plan ten rodził się w umyśle i sercu poety-myśliciela od wczesnej młodości, bo już przytoczone wyżej myśli skierowane do emigrantów polskich w 1846 roku o tym świadczą. Najpełniejszy jednak zarys przybrał on w filozoficzno-dydaktycznym poemacie „Promethidion" z 1850 roku, a więc u nawet nie trzydziestoletniego jeszcze autora. I ten właśnie poemat stał się głównym źródłem studiowania filozoficznej i społecznej myśli poety, zwłaszcza w okresie międzywojennym, kiedy to nazwisko Norwida stało się prawdziwie głośne. I choć jeszcze nie wszyscy wtedy uznawali jego wyjątkową wielkość, to nie było już poważniejszego intelektualisty z kręgów kulturalno-literackich, który by pozostawał wobec niego obojętny. W każdym bądź razie zaczął się niepokój intelektualny i poetycko-artystyczny wokół zarówno jego twórczości literackiej, jak i wokół jego myśli. Z całą pewnością Norwid przyczynił się pośmiertnie swoim dziełem do

rozsądnego przewartościowania romantycznej spuścizny trzech wieszczów, a także głębszej oceny pozytywistycznej tradycji, jako że zasadnicza jego myśl zawiera elementy obu tych przeciwstawnych tradycji, a zarazem obie zdecydowanie w sobie przezwyciężа.

Fascynowali się nim między innymi poeci przedwojennych grup „Kwadryga" i „Meteor", a ich bezkrytyczny kult, jak to wspomina po latach jeden z nich, zasadzał się właściwie tylko na znajomości „Promethidiona" i garści drobnych liryków. Niewiele więcej jego utworów znali zapewne młodzi poeci tragicznego pokolenia okupacyjnego zgrupowani wokół konspiracyjnego pisma „Sztuka i Naród". Ale to wystarczyło, aby nie Mickiewicza, ani nie Słowackiego, lecz właśnie jego, Norwida, uznano za swojego patrona. Z „Promethidiona" pochodziło stałe motto ich pisma: „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej". Cóż więc mogło ich zafascynować u tego tak trudnego przecież ciemnego poety i myśliciela?

W tym momencie pozwolę sobie przytoczyć fragment swojego artykułu sprzed dwudziestu lat: "Pokolenie Gajcego i Baczyńskiego dostrzegło w odczytaniu na nowo i przyswojeniu jego (tj. Norwida) twórczości ogromną szansę wzbogacenia własnej poezji o pierwiastki, których brakowało poezji dopiero co minionych lat i dziesięcioleci. Chodziło przede wszystkim o problematykę moralną, metafizyczną i narodową, której eksploatacja artystyczna miała podnieść na wyżyny humanistycznego uniwersalizmu nową poezję tak, aby stała się rękojmią walki już nie tylko o fizyczny byt narodu, ale o jego status moralny, o najwyższe wartości ogólnoludzkie. Odbudowanie w świecie ładu moralnego opartego na absolutnych, niepodważalnych zasadach chrześcijańskich i ufundowanie w oparciu o nie nowego bytu narodowego - oto co można wyczytać z postulatów młodych poetów okupacyjnych, które przejęli wprost od Norwida, zwłaszcza z jego „Promethidiona". Wystarczy w tym momencie przypomnieć choćby jego myśl, iż zwycięstwo polityczne Polski musi być poprzedzone logicznie «wygraniem w sobie wojny prawdy», czyli moralnym, duchowym odrodzeniem narodu"[4] .

---

4 *Nieobecność Norwida*, „Poezja", 1980, nr 5, s. 34-35.

Nie gasnąca do dziś popularność i żywotność Norwida jako poety i jako myśliciela bierze się przede wszystkim z wyjątkowej głębi jego myśli, z jej uniwersalizmu. Nawiązywanie dialogu z Norwidem daje pisarzom, a w szczególności poetom szanse metafizycznego i moralnego pogłębienia własnej twórczości. I to właśnie doskonale wyczuli i zrozumieli poeci pokolenia okupacyjnego. Norwid bowiem jest poetą na trudne czasy skłaniające do refleksji nad sprawami ostatecznymi. Tak było w okresie wojennym i tak jest dziś, gdy walą się na naszych oczach wszystkie niemal systemy wartości oparte o tradycję śródziemnomorską. Jakże doskonale zauważył i wyraził to jeden z poetów „Sztuki i Narodu" niemal sześćdziesiąt lat temu: „Szatan zdjął maskę i ukazał się taki jaki jest: irracjonalistyczny, pragmatystyczny, woluntarystyczny, potwornie silny (...), czujemy, że kultura przeżywa właśnie swój potworny, rozpaczliwy, nie-do-przyjęcia koniec świata"[5].

Przedstawmy teraz w najogólniejszych zarysach i w maksymalnym skrócie zasadnicze idee jego światopoglądu. Bo niewątpliwie można mówić o światopoglądzie w pełnym tego słowa znaczeniu, gdy się rozważa intelektualno-poznawczą warstwę jego spuścizny. Jego myślenie i idee układają się w koherentną całość spojoną w dodatku porywającym niekiedy patosem przekonań. W ich centrum więc nie tylko umysł, ale i cała jego osobowość pulsuje, nadając całości intelektualnej piętno egzystencjalnego autentyzmu. W systemie jego myśli znajdujemy rozstrzygnięcia zagadnień ogólnoantropologicznych i etycznych, metafizycznych i społecznych, estetycznych i historiozoficznych. U podstaw jego światopoglądu znajduje się chrystianizm, a nawet - dokładniej - katolicyzm. Jest to więc światopogląd typu religijnego. Jego religijność polega na tym, że w problemach węzłowych autor odwołuje się do podstawowych zasad, czy prawd wiary religijnej. Tak jest na przykład w przypadku ustosunkowania się do nowoczesnego przyrodoznawstwa, konkretnie do głoszonych w jego czasach materialistycznych interpretacji teorii ewolucji Darwina. Norwid

---

5 A. Trzebiński, *Kwiaty z drzew zakazanych*, Warszawa 1972, s. 43.

opowiada się wyraźnie po stronie chrześcijańskiego kreacjonizmu. „Będąc wiernym podaniom ludzkości" sądzi, że „Człowiek był wytwornym. - I Ludzkości prolog w Raju jest" („Rzecz o wolności słowa", III, 567). (Słowo „wytworny" znaczy tutaj tyle, co „stworzony").

Nie zawsze chrystianizm, czy ogólniej - religijną postawę będzie tak bezpośrednio manifestował. Najczęściej jest ona obecna podskórnie w tekstach poetyckich jako fundament i źródło ich artystycznego natchnienia i ideowej zawartości. Ale dość jest w jego utworach zarówno *stricte* poetyckich, jak i eseistycznych wypowiedzi, które pozwalają pokusić się bez większego ryzyka interpretacyjnego błędu o zrekonstruowanie jego poglądów w zasadniczych kwestiach filozoficznych.

Zacznijmy od pytania najważniejszego: kim jest człowiek i jakie jest jego przeznaczenie? Częściową odpowiedź usłyszeliśmy w tyle co przytoczonym zdaniu, iż człowiek jest „wytworny", a więc stworzony (wykreowany) przez Boga, a początek jego gatunkowej historii tkwi w Raju, czyli w rzeczywistości szczęśliwej, ale z winy człowieka utraconej. Jak więc widzimy, Norwid przyjmuje dość sztywno chrześcijański schemat pojmowania człowieka w aspekcie genetycznym (skąd pochodzimy?). Składają się nań następujące momenty: nauka o stworzeniu człowieka przez Boga, nauka o grzechu pierworodnym, upadku i skażeniu natury ludzkiej, mit (opowieść biblijna) o wygnaniu z Raju. A zatem Norwid wyznaje pogląd, że właściwe dzieje człowieka zaczynają się od utraty bezpośredniego obcowania z Bogiem i od próby nieudanego naruszenia tajemnicy dobra i zła, a więc od utraty niewinności dziecka Bożego przez nieszczęśliwe użycie wielkiego boskiego daru wolności.

Obrazu tego schematu dopełnia nauka o Chrystusie i jego zbawczej roli umożliwiającej powrót człowieka do swego Stwórcy. Bo taka jest odpowiedź na kolejne antropologiczno-etyczne pytanie: dokąd zmierzamy? Właśnie do Boga. Celem wygnanego stworzenia jest powrót do Stwórcy.

Wreszcie trzecie fundamentalne pytanie antropologiczne: kim jesteśmy? Na to pytanie Norwid odpowiada najczęściej, najobszer-

niej i, rzec można nawet, że czyni to nieustannie, zwłaszcza jeśli dodać, że z treścią tego pytania wiąże on ściśle treść pytania węższego i zarazem konkretniejszego: co jest naszym obowiązkiem?

Zatrzymajmy się właśnie nad tym ostatnim. Powiada Norwid, że „człowiek na to przychodzi na planetę, aby dać świadectwo prawdzie" („Wykłady o Juliuszu Słowackim", VI, 434). I to przekonanie wyrażane na różne sposoby jest stałym motywem przenikającym cały jego system myślenia filozoficznego i poetycko-filozoficznego. Można w jego pismach wyróżnić kilka znaczeń i odcieni znaczeniowych pojęcia prawdy. Może najważniejsze z nich to rozumienie prawdy jako synonimu samego Boga i Chrystusa, a to w nawiązaniu do słynnego wersetu Ewangelii wg św. Jana: „Jam jest droga i prawda, i żywot" (J. 14,6). W tym znaczeniu więc dawanie świadectwa prawdzie to tyle, co świadczenie o Bogu, spełnianie jego woli przekazanej najpełniej przez Chrystusa. Udobitniają to jeszcze inne wersety z tejże Ewangelii, które ciągle zdaje się Norwid mieć w pamięci serca i umysłu: „łaska zaś i prawda stała się przez Jezusa Chrystusa" (J. 1,17); „Lecz kto postępuje zgodnie z prawdą, dąży do światłości, aby wyszło na jaw, że uczynki jego są dokonane w Bogu" (J. 3,21).

Trzeba sobie naprawdę dobrze uświadomić, że nie pojmiemy Norwida, jeśli nie będziemy czytali jego dzieł w najściślejszym kontekście biblijnym[6]. Bez większej przesady rzec można, że utwory jego to przypisy do Biblii. Wzorem wielkich świętych, ascetów i myślicieli chrześcijańskich brał Norwid Ewangelię na serio, integralnie, w każdym wymiarze swego życia i twórczości. Dlatego nie powinno nikogo zdziwić, że ludzkiej pracy, a także sztuce, którą traktował jako najszlachetniejszy rodzaj pracy, wyznacza cel transcendentny, ściśle religijny. Jest nim zmartwychwstanie: „Bo piękno na to jest, by zachwycało // Do pracy - praca, by się zmartwychwstało" (III, 440). Jego „Promethidion", z którego pochodzą ostatnie cytaty, jest przykładem poematu, który zawiera porywające strofy wielkiej poezji, a jednocześnie niesie w sobie impo-

6 Na temat roli Biblii w twórczości Norwida zob.: A. Merdas, *Łuk przymierza: Biblia w poezji Norwida*, Lublin 1983.

nujący wywód teologiczny. Bo w istocie Norwid jest bardziej teologiem[7] niż filozofem, choć przyjęło się określać go jako poetę filozoficznego. „Promethidion" jest traktatem z dziedziny teologii sztuki i piękna, teologii pracy, teologii miłości, a także teologii narodu i historii. Nikt po nim nie obarczał już poezji tak odpowiedzialnymi poznawczo, intelektualnie zadaniami. A wcześniej, przed nim może jedynie Dante.

Ale wróćmy do pytania: kim jest człowiek? Oczywiście bez ambicji wyczerpania bogactwa Norwidowej artykulacji zawartego w nim problemu. Jeśli człowiek genetycznie wywodzi się z rzeczywistości innej niż ta, do której obecnie należy i jeśli ostateczny cel jego istnienia również wykracza poza ten świat, w którym obecnie przebywa, to jasną jest rzeczą, iż nie jest sam sobie celem, ani też nie stanowi on bytu autonomicznego. Sens jego egzystencji zawiera się w dążeniu do celu transcendentnego. Owo dążenie zaś nie wynika, rzecz jasna, z chęci zachowania swojego aktualnego bytu, z jakiegoś uporczywego i nieugaszonego pragnienia jego nienaruszalności, pragnienia więc jakby - paradoksalnie - ziemskiej, doczesnej nieśmiertelności, lecz z pragnienia wielkiej przemiany, takiej, która nada mu nowy wymiar istnienia, nową i wyższą zarazem jego rangę. To w istocie oznacza „zmartwychwstanie". A prowadzić mają do niego wszystkie drogi ludzkiej aktywności, czyli pracy, tak jak ją rozumie i wykłada Norwid. Pośród różnych jej rodzajów wyniesiona zostaje na szczyt praca artysty i jej rezultat - sztuka, i jej owoc - piękno.

O pięknie wypowiedział słowa tak niezwykłe, jakich nikt przed nim ani po nim nigdy nie wyraził. A więc, że „Kształtem jest Miłości" - pisanej, jak widzimy, z dużej litery, bo chodzi tu o miłość nadprzyrodzoną, jaką Bóg obdarza człowieka i świat. Mówi też Norwid, że ono „jest profil Boży, // Przez grzech stracony nawet w nas, profilu cieniach". Tak rozumiane piękno jest zatem własnością samego Boga, a światu udziela się tylko jako Jego odblask i jako łaska, niezasłużony dar, utracone zresztą w akcie pier-

---

7 Por. A. Dunajski, *Teologiczne czytanie Norwida*, Pelplin 1996.

worodnego grzechu, tak jak utracone zostało szczęście przebywania w „dotykalnej" bliskości Boga. Ta transcendentalno-teologiczna koncepcja piękna łączy je ściśle z innymi metafizycznymi cechami Boga: z prawdą i dobrem. A tak powiązane nabiera najwyższego majestatu i staje się dla człowieka wartością bezwzględnie obowiązującą. Czytamy: „Co piękne, nie jest to (...) // Co się podoba dziś lub podobało // Lecz co się winno podobać" („Prometh." III, 434).

I tak to widzimy, jak pozornie niewinne, wydawałoby się, salonowe jedynie rozmowy i uwagi o sztuce wiodą myśl poety w możliwie najwyższe sfery dociekań, w sfery metafizycznych pryncypiów. Sam o tym mówi nie bez cienia łagodnej ironii: „Rzecz o sztuce, // Elementarna rzecz, jakże daleko // Unosi?" („Prometh." III, 436).

A mimo to nie można chyba przypisać mu postawy, którą tak dobitnie, lapidarnie i radykalnie wyraził święty Augustyn: „Pragnę znać Boga i duszę. I nic więcej? Nic więcej". Norwid w gruncie rzeczy nigdy nie czyni Boga ani duszy przedmiotem samoistnych rozważań. Mówi natomiast ciągle o człowieku i jego obowiązkach, o społeczeństwie, historii, a także o polityce i sztuce. A więc o sprawach nie tyle teoretycznych, co praktycznych.

Ale ta praktyczność nie ma nic wspólnego z pragmatyzmem i utylitaryzmem, które zawsze wykazują tendencję, aby wartości najwyższe sprowadzić do niższych. Widać to zwłaszcza na przykładzie traktowania prawdy. Prawdziwym chciałyby one widzieć to, co pożyteczne. A zatem słusznie wiążąc prawdę z pożytkiem, niesłusznie zdają się ją od niego uzależniać. Inaczej Norwid - on idzie dokładnie śladem Sokratesa i bardziej jeszcze śladem Ewangelii, prawdę stawiając przed wszelkim pożytkiem, choć nie przeciwko niemu. Nie to jest prawdziwe, co pożyteczne (utylitaryzm, pragmatyzm), lecz to jest pożyteczne, co prawdziwe, co od prawdy pochodne.

Być może to jego nastawienie „praktyczne" - w specyficznym tego słowa znaczeniu, mianowicie jako nie ograniczone tylko do spekulatywnej abstrakcji - powodowało, że jego głęboka religijność miała nie tyle charakter teologiczny, co raczej chrystologiczny. Skłonny do rozważania i rozwiązywania takich „praktycznych" problemów, a więc

problemów wynikających z cielesnych aspektów świata i człowieka, nie mógł tak łatwo powoływać się na Boga-Ojca, jak na Boga-Syna, gdyż bliżej człowieka jest Syn Boży, prawdziwy Bóg, ale i prawdziwy człowiek, a zarazem idealny wzór człowieka.

Właśnie Chrystus stanowił dla Norwida i jego antropologii najwyższą miarę i wagę, i ostateczną instancję odwoławczą we wszystkich ludzkich sprawach. Jako człowiek jest tym, w którym cielesność, materialność została w najwyższym stopniu zrehabilitowana, przebóstwiona i uświęcona. A Norwida właśnie to, co tak często było w popularnym romantycznym spirytualizmie deprecjonowane - ciało i materia - w istocie obchodziły najwięcej, bo w nich to przecież rozgrywają się wszelkie problemy konkretnego ludzkiego życia z jego radościami i smutkami w wymiarze jednostkowym i zbiorowym, historycznym.

Gdy Norwid rozważa jakiekolwiek problemy ludzkie, czyni to z reguły w języku teologicznym. Jest jednak rzeczą u niego znamienną, że z niezwykłą łatwością, płynnie i harmonijnie, jakby niepostrzeżenie przechodzi od znaczeń teologicznych do znaczeń praktycznych, etycznych i społecznych. I na odwrót - wszelkie znaczenia praktyczne z zadziwiającą łatwością i naturalnością włącza w semantyczno-teologiczne paradygmaty. „Promethidion" jest tych procesów poznawczo-semantycznych dowodem chyba największym, ale nie jedynym. Ten proces obserwować można niemal w każdym bardziej znaczącym utworze poety.

Oto przyjrzyjmy się raz jeszcze jego rozważaniom o pracy. Jego koncepcja pracy wyrasta ze ściśle teologicznych przesłanek. Praca jest konsekwencją grzechu pierworodnego („pracować będziesz w pocie swego czoła", Rdz. 3,19). Można więc ją nie bez racji uznać za karę, a więc za zło, które dotyka człowieka. Norwid tę ontologiczną ułomność człowieka związaną z koniecznością pracy rehabilituje w ten sposób, że traktuje ją jako czynnik aktywizujący człowieka do odzyskania pierwotnej swej natury, utraconej doskonałości (Raju). W istocie rzeczy ten ontologiczny, jakieśmy go tu określili, brak w naszej naturze, jej skażenie, staje się początkiem i stałym odtąd motorem historii ludzkiej. A ponieważ celem histo-

rii w myśl chrześcijańskiej teologii dziejów, którą Norwid wyznawał, jest zbawienie, zatem praca okazuje się środkiem do celu, czyli środkiem do zbawienia. (Stąd zresztą średniowieczna formuła *ora et labora*, módl się i pracuj). A jeśli tak, to nie ma sensu traktować jej jako zło i przekleństwo gatunku, raczej wręcz przeciwnie - jako dobro, gdyż przez nią możemy osiągnąć zbawienie.

Jest więc praca ważnym źródłem naszego człowieczeństwa. Nosi wyraźnie charakter antropogenny. Co prawda nie w tym stopniu, jak na przykład u marksistów, żeby miała wręcz „stwarzać" człowieka, czyli w myśl tej koncepcji wyprowadzać go ze stanu zwierzęcej egzystencji do stanu *animal rationale*, a więc zwierzęcia myślącego. Taka naturalistyczna koncepcja jest dla Norwida oczywiście nie do przyjęcia, gdyż na początku człowiek nie był zwierzęciem, lecz istotą wyższą niż obecnie, przebywającą blisko Boga („prolog ludzkości w Raju jest"). Według niego praca nie stworzyła i nie stwarza człowieka, lecz jedynie odtwarza i regeneruje jego moce duchowe. Nie wiedzie go też ostatecznie do takiego celu, jaki sam by sobie postawił, lecz do celu wyznaczonego przez Boga przemawiającego słowami Biblii oraz słowami, życiem i śmiercią Chrystusa. A tym jest zbawienie.

Nie jest ona więc ani jedynie sposobem pomnażania dóbr materialnych i instrumentalizowania przyrody, panowania nad nią jak nad niewolnicą - tak jak się ją w znacznym stopniu pojmuje w kulturze mieszczańsko-protestanckiej, a na wielką już skalę, jako coś oczywistego, w naukowo-technicznej kulturze współczesnej. Praca, będąc nade wszystko „zguby szukaniem" (czyli sytuacji rajskiej), powinna być umotywowana nie dążeniem do materialnej potęgi, lecz do zbawczej prawdy.

Nietrudno zauważyć, że w takiej perspektywie myślenia nie mogły powstania narodowe zyskać pełnej akceptacji aksjologicznej Norwida. Siłą rzeczy były one wydarzeniami stanowiącymi elementy procesu historycznego. Ten jednak powinno się traktować jako jeden wielki proces pracy ludzkości, narodów i jednostek[8].

---

8 Wizję historii jako procesu zbiorowej pracy ludzkości zawiera np. wiersz *Czasy*: „O, nieskończona dziejów jeszcze praca, ...", (I,116).

Czy służyły godnie finalnemu celowi historii ludzkości? Już wcześniej powiedzieliśmy, że były czynami „niewczesnymi", czyli nie trafiającymi we właściwy puls i rytm dziejów, a zatem nie przysłużyły się do wypełniania i przyspieszania przeznaczeń dziejowych. Nie stanowiły więc właściwego elementu czy fragmentu owej pracy ludzkości pojętej jako ofiara przebłagalna za grzech pierworodny, a zarazem jako czynnik kreujący człowieczeństwo. Mówiąc najprościej - nie były pracą w Norwidowym rozumieniu tego pojęcia. Były czynami nie poprzedzonymi „wojną prawdy", którą to Polska winna uprzednio „wygrać w sobie" („Prometh." III, 458). Naród powinien się najpierw odrodzić moralnie, a takie odrodzenie nie może nastąpić bez pracy w wyżej wyłożonym sensie.

I oto widzimy, jak Norwid, wychodząc z ortodoksyjnego chrześcijańskiego schematu historiozoficznego i z chrześcijańskiej koncepcji człowieka, formułuje niemal konkretny program społeczny, a nawet polityczny. Próbuje podejść do rozwiązania problemu niepodległości narodowej, nurtującego wówczas wszystkich Polaków, inaczej niż romantycy. I trzeba przyznać, że znacznie głębiej. Przy okazji swojej koncepcji pracy pokazuje anachroniczność struktury polskiego społeczeństwa, którego oficjalne elity poczucie swojej wartości gruntowały na próżniactwie i pogardzie dla pracy, zwłaszcza fizycznej (a tę Norwid podnosił wysoko). Dlatego proponuje poeta zastąpienie arystokracji krwi arystokracją zasług, podobnie zresztą jak współczesny mu filozof August Cieszkowski.

Także w ścisłym związku z religijnymi przesłankami pozostaje jego koncepcja wolności. Przeciwstawiał się absolutyzowaniu wolności, przez co stawał w opozycji do romantycznego indywidualizmu. Na temat wolności rozprawia w poematach filozoficzno-dydaktycznych: „Zwolon", „Niewola", „Fulminant". Rozważania ogólne snuł tutaj w powiązaniu z zagadnieniami narodowymi, z problemem zrywów powstańczych.

Traktowanie wolności w sposób absolutny jako autonomiczne prawo jednostki wiedzie, zdaniem Norwida, do samowoli, niczym nieuzasadnionej arbitralności decyzji i stąd do największej tyranii.

Jest poza tym źródłem nieprzemyślanych i nie umotywowanych służeniem prawdzie czynów. Są to czyny „pogańskie", „tatarskie". A przecież wszelkie wartościowe działania, czyny, powinny wynikać z miłości i służyć prawdzie. Działania takie wymagają wolności, ale nie tej, którą Norwid określa jako „arbitralna decyzja indywidualnej jaźni", lecz jako stan uzgodnienia własnej indywidualnej woli z wolą Bożą. (Stąd tytuł „Zwolon", co ma znaczyć: zgodny z wolą wyższą, boską). Choć nie przyznaje człowiekowi wolności bezwzględnej, to z drugiej strony nie pojmuje jej jako uświadomionej konieczności, jak to czynili stoicy, Spinoza, czy marksizm. Przystosowanie i uzależnienie indywidualnej woli jednostki od woli Boga w niczym nie przypomina deterministycznych czy fatalistycznych koncepcji, a jedynie sprowadza ludzką wolność do jej właściwych i realnych granic. Wolność człowieka w poddaniu się wolności Boga, w zatraceniu siebie w Nim! Oznacza to wyzbycie się przez człowieka swego egoistycznego i egocentrycznego wymiaru, wykroczenie poza granice swojego ciasnego i przygodnego w istocie bytu w kierunku bytu absolutnego. Ten szczególny akt transcendencji (wykraczania) jest zarazem najwyższym aktem miłości i właśnie ona gwarantuje, że byt ludzki nie zatraca się w polu oddziaływania bytu boskiego, lecz - przeciwnie - dopiero w nim uzyskuje prawdziwe istnienie, wartość i sens. Norwid doskonale wie, że relacja miłości zakłada wolność i zarazem ją warunkuje. W dialogu „Bogumił z Promethidiona" (w. 237-254) znajduje się niezwykły hymn o miłości wzorowany zapewne na słynnym hymnie św. Pawła z trzynastego rozdziału „Listu do Rzymian" (w. 1-13) oraz nawiązujący wyraźnie do Pawłowych rozważań z ósmego rozdziału tegoż „Listu" (w. 31-39). W imię miłości człowiek podejmować powinien krzyż, naśladując w ten sposób Chrystusa. Ale „powinien" nie oznacza „musi". Człowiek jest wolny i może nie czynić swojej powinności. Ale wtedy traci szansę odzyskania swej pierwotnej doskonałości, szansę zbawienia. Bóg nie zbawia nikogo przymusowo. Człowiek, aby być zbawiony, musi odpowiedzieć swoją miłością na miłość Boga, która jest niezawodna i wieczna. Odpowiedź taka może się dokonać tylko w wolności.

Stałym motywem w twórczości Norwida jest motyw dziejów i historii, jak najściślej związany z omówionymi przez nas dotychczas zagadnieniami pracy i wolności. Mówi poeta: „Dzieje pozornie są zamęt, // Gdy w gruncie są: siła i ładność szeroka! // (...) dzieje są jako testament, // Którego cherubin dogląda z wysoka" („Żydowie polscy", I, 340).

Wygląda więc na to, że historia człowieka nie jest ciągiem przypadkowych wydarzeń nie mających żadnego finalnego celu. Ale wręcz przeciwnie, ma swój cel, a dążąc do niego porządkuje się wewnętrznie w ład. Stróżem i gwarantem tego ładu jest Bóg, osobą dramatu dziejów - człowiek. Schemat historiozoficzny Norwida w gruncie rzeczy jest powtórzeniem jego schematu teologiczno-antropologicznego: stworzenie - upadek - odkupienie. Poza ten chrześcijański paradygmat myślenie poety nigdy nie wykracza.

Jaką rolę w dziejach, których cała budowla spoczywa ostatecznie w rękach Boga, ma do odegrania człowiek? Jakie są jego możliwości działania dziejotwórczego? Historia idei w tym zakresie zna co najmniej trzy zasadnicze modele, czy też typy koncepcji.

Dzieje są procesem, którym rządzą przypadkowo układające się siły, przyszłość jest nieprzewidywalna, przeszłość niezrozumiała, to znaczy nie wykazująca jakichś wewnętrznych prawideł, nie ma przed gatunkiem ludzkim żadnych celów transcendentnych, to znaczy takich, które by wykraczały poza naturalne, wewnętrzne uwarunkowania wydarzeń dziejowych; historia zmierza ostatecznie do zagłady w takim samym sensie, jak do zagłady idą wszelkie przyrodnicze systemy istnienia. To koncepcja naturalistyczna.

Za pewną jej odmianę można uznać koncepcję fatalistyczną, która mówi, że wszystko dzieje się według konieczności, działającej całkowicie niezależnie od woli i działań ludzkich, tak jak w klasycznej tragedii antycznej (na przykład w „Królu Edypie"). Niekiedy wskazuje się na rodzaj i charakter sił powodujących dziejami (na przykład w marksizmie jest to rozwój sił wytwórczych) i wówczas postuluje się, aby człowiek starał się zrozumieć te siły i swoje postępowanie dostosować do ich natury, aby nie pozostawać z nimi w nieświadomym tragicznym konflikcie. Takie rozumienie historii zakłada wspomnianą wyżej koncepcję wolności jako uświadomionej konieczności.

W obu tych koncepcjach sytuacja człowieka jest nie do pozazdroszczenia. W pierwszej co prawda może on swój los wykuwać dowolnie, gdyż nie istnieją żadne określone prawidłowości od niego niezależne, a ściśle go od siebie uzależniające, ale ta dowolność kreowania samego siebie wymaga od niego niekiedy sił nadludzkich, których *ex definitione* nie posiadając popada w egzystencjalny lęk, poczucie bezsensu i ostatecznie w rozpacz. Taka sytuacja rodzić może nihilizm. Świat jest chaosem, nie ma w nim nic trwałego, pewnego, czemu można by zaufać i uznać za bezwzględną wartość i źródło ocalenia.

W drugiej koncepcji również trudno człowiekowi znaleźć uzasadnienie dla swego istnienia, jest ono bowiem wynikiem działania sił wprawdzie wewnętrznie jakoś logicznych, ale doskonale bezosobowych, obywających się bez człowieka, całkowicie obojętnych na jego los, chociaż własną mocą los ten mu narzucających. Człowiek znowu jest niczym wobec nieskończonego świata przyrody, a także wobec jakichś przemożnych praw historii, które co najwyżej może poznać, a znając je, unikać najgorszych konsekwencji ich działania. Tu jednak tkwi wielkie niebezpieczeństwo dla wolności społeczeństwa i jednostki ludzkiej. Na gruncie tak pojmowanej historii łatwo o tworzenie się elit władzy uzurpujących sobie prawo do jedynie słusznego rozumienia dziejowych konieczności i w konsekwencji tego podporządkowujących sobie w imię tej wiedzy całe ludzkie zbiorowości. Cóż jednak, gdy ta wiedza okaże się fałszywa? Wtedy społeczeństwo i jednostka zostają poddane fałszowi i zmuszane do uznawania go za prawdę. Wielkim i tragicznym przykładem tego był komunistyczny totalitaryzm oparty m.in. na takiej właśnie deterministyczno-naturalistycznej, a zarazem agresywnie antyreligijnej koncepcji dziejów.

Norwid oczywiście nie jest, bo nie może być, całkiem oryginalny w swojej filozofii dziejów. Jako się rzekło, przyjmuje schemat chrześcijański. Dzieje nie są zamętem i grą, czy mozaiką przypadkowych wydarzeń. Gdy przyjrzeć im się z wysokiej perspektywy, są ładem, wykazują prawidłowość i głęboki sens. Ale prawidłowość ich nie ma w sobie nic z fatalności determinizmu sił bezosobowych, bowiem wynika ona z planu, jaki Bóg ma wo-

bec człowieka, planu zbawienia. I dzieje ludzkie mają też cel finalny, a jest nim właśnie owo zbawienie. Bóg jednak nie przymusza człowieka do zbawienia, uznaje nadaną mu wcześniej przez siebie wolność, na której wspiera się cała godność człowieka. Człowiek sam decyduje, czy wybiera cel naznaczony przez Boga, czy go odrzuca. Czy będzie z Bogiem współpracował, czy będzie szedł własną, arbitralnie wyznaczoną sobie samemu drogą. Czy więc wybierze swoją prawdziwą wolność, to jest tę, która polega na uzgodnieniu swojej woli z wolą Boga, czy wybierze wolność pozorną i fałszywą, przez Norwida określaną jako „arbitralna decyzja indywidualnej jaźni".

W obu przypadkach człowiek jest odpowiedzialny za swój los, za los historii. Ale w przypadku pierwszym, gdy podporządkowuje się Bogu, może mieć pewność ocalenia, zbawienia, gdyż Bóg nie zawodzi. Wtedy człowiek, ściśle biorąc, jest za los swój współodpowiedzialny, bo więcej „odpowiedzialności" spada na Boga. Nie człowiek sam siebie wtedy ocala, lecz ocala go Bóg. On zaś jedynie w akcie własnej wolności „przyzwala" na działanie Boga i spełnia to, co do niego należy i co jest w jego mocy. I „tylko" za to jest odpowiedzialny. A wielka to jednak odpowiedzialność, bo to nie Bóg, tylko człowiek sam siebie skazuje albo na ocalenie, albo na zatratę. Bóg jedynie pragnie zbawienia człowieka i daje mu do tego realne szanse. Więc człowiek jednak za swą historię odpowiada, bo, jak powiada Norwid, „Przedwieczny w człowieku przez się działa, ale w historii przez człowieczość" (VII, 28).

„Historia jest piękną pieśnią" - powiada św. Augustyn. Czy Norwid całkowicie podziela takie jej określenie? Mając dłuższą niż Augustyn perspektywę dziejów za sobą, nie widzi ich już w kategoriach tak harmonijnej estetyki, choć niewątpliwie ów cherubin z wiersza „Żydowie polscy" doglądający dziejów z wysoka z pewnością jest symbolem harmonii, i to boskiej harmonii. Ale dzieje zawierają też istotne motywy zła i cierpienia. Są dramatem prawdy. Walką prawdy z fałszem. Obok twórczości szerzy się zniszczenie. Zwycięża prawda, ale za cenę łez i krwi, za cenę krzyża. Taka jest ogólnie biorąc wymowa jego historiozoficznej wizji:

... Dziejów mądre są ekwacje:
Na d n i e i c h leży Chrystusowe słowo,
Na s z c z y c i e On Sam z niewidzialną głową,
Pośrodku czasów krążą konstelacje
I harmoniami swymi w Epok kręgi
Niby tańczące wiążą się Potęgi...
- Co r z e c z y w i s t o ś ć, to świata-skończenie,
Co n i e u ż y c i e to puste zwątpienie,
Co n a d-u ż y c i e, to niedokończenie...

(„Salem", III, s. 512)

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Norwid nasycił swoją poezję tak ogromnym ładunkiem intelektualnych treści, jak nie uczynił tego żaden z polskich poetów, a niewielu z poetów świata. Jego język, choć często budzący uzasadnione wątpliwości, jest w zasadzie adekwatny do ogromu zawierających w sobie treści, czyli jest językiem wielkiej poezji. Wiele strof i fragmentów tej poezji budzi nie tyle już podziw, co pokorę - uczucie właściwe w sytuacjach spotkania z tym, co nas przerasta, wygasza w nas naszą nieuzasadnioną dumę i porywa za sobą.

Czy wobec tego bogactwa myśli i bogactwa swoistego piękna i wzniosłości tej poezji dziwić może fascynacja nią coraz to nowych pokoleń badaczy, czytelników i poetów? Poeci pokolenia okupacyjnego z Andrzejem Trzebińskim, Krzysztofem Baczyńskim i Tadeuszem Gajcym na czele byli tymi, którzy mieli największe szanse stać się jego godnymi następcami, gdyż predestynowały ich do tego szczególnie wybitne talenty artystyczne i szczególnie bogate i wrażliwe osobowości twórcze. Cechowała ich coraz rzadsza już dziś troska o moralny kształt świata, człowieka i własnego narodu. Pisał Tadeusz Gajcy: „Przez księgi Norwida oczyścić musimy dusze nasze ze śmiecia". „Czy Norwid był wieszczem? Nie był. Czy wychowywał?«Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej» - powiedział. To lapidarne sformułowanie zadań artysty odpowiada naszemu pojęciu wychowania". Powie dalej Gajcy: „Poezja ma pełnić służbę, ma wychowywać, nie tylko czarować i bawić"[9].

9 T. Gajcy, *O wawrzyn*, „Kierunki", 1967 nr 19.

A oto co mówi m.in. w związku z fascynacją Norwidem Andrzej Trzebiński: „Prawdziwi, wielcy wychowawcy przeprowadzając swoją epokę, czy swój naród przez wielką historię - mają, muszą mieć cel jeden: wychować w ten sposób, ukuć tą metodą charakter swojej epoki, czy swojego narodu. Bowiem jak okiem sięgnąć kultury zawsze miały swoich wielkich wychowawców"[10].

I takim właśnie wielkim wychowawcą naszego narodu jest Norwid. Nie przypadkiem na niego powołuje się inny współczesny wychowawca narodu i ludzkości - papież Jan Paweł II, uważając go za jednego z najważniejszych myślicieli chrześcijańskich nowszych czasów.

10 A. Trzebiński, op. cit., s. 46.

Prawda za drzwiami

Prawda za progiem stoi
woalką otulona
niepewnością krucha
cicha
bezradna

często drży skulona
rumieni ze wstydu
za samotność

czasem jednak się burzy
zamaszyście otwiera drzwi
wkracza na salony
gwałtownie wytykając fałsz

lecz nikt jej nie słucha
skarlałe wielkości podnoszą oblicza

Prawda to mit
Prawda to względność
Prawda to kłamstwo

jeszcze słabsza
jeszcze bardziej blada
Prawda wraca

do kąta
za próg
za drzwi

aż zgaśnie...
a potem
rozpadnie się świat...

Do Cypriana

Cyprianie!
jesteś niemal Święty...
sądy Twoje i rzeczywistość
to zgodność
Ty i Bóg
to jedność
skąd więc to tragiczne
rozminięcie się z epoką?

Cyprianie!
przypominałeś zasady
szukałeś strofami Prawdy
nakazywałeś czcić ojca swego i matkę swoją...

a człowiek nadal pyszny
Prawda za drzwiami stoi
i Biblia w błocie zatacza

Cyprianie!
wciąż jesteś samotny
w prowadzeniu Cnoty!

Martwa księga

Biblię pokrył kurz
czasem zdmuchnie go
jedynie kaznodzieja
gdyż czas nie na cnoty

wolny człowiek
sięga dziś
po Ewangelię w rękawiczce

bo demokratą być
to bez Boga

lecz pustka nie próżnuje
wolność zaczyna dławić
staje się pułapką
niewolą kłaniających w wyścigu

Kłopoty Norwida z czynem i ojczyzną

Ulubionym słowem-pojęciem u Cypriana Norwida (1821-1883) był CZYN. Stało się tak zapewne z licznych powodów. W warunkach carskiej cenzury pozwalało to bezpiecznie omijać takie terminy, jak „walka", „rewolucja". Spopularyzowało go starsze pokolenie romantyków. Norwid rozczytany w literaturze staropolskiej i dawnych przekładach Biblii spotyka to prasłowo związane raczej z czynnością, zbroją, naczyniem. Wreszcie w Grecji klasycznej słowo legło w podstawie nazwy poety (jak u nas składacz). Ulubili sobie je Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. Tyle tylko, że ostro przeciwstawiali je kontemplacji. U Słowackiego istnieje coś w rodzaju rywalizującej triady: czynu-słowa-pracy. Lubili słowo rówieśnicy Norwida (Dembowski). W miarę szerzenia się poglądów demokratycznych powiadano, że czyn człowieka ważniejszy niż jego ród. Czyn rozróżniano dobry i zły. Konstanty Gaszyński pisał, że „czyn siły zwierzęcej" pójdzie na zmarnowanie. Czyn szlachetny, anielski jest godzien prawdziwego człowieka. Czyn mógł być nacechowany patriotyzmem, wiązać się pojęciowo z wydarzeniami i postaciami. Stopniowo nauczono się wyodrębniać poezję i poetów czynu, wiązać z pewnego typu pieśnią i słowem. Potem CZYN odbił się szerokim echem w pokoleniu Młodej Polski (Wyspiański, Brzozowski i in.), a także u części poetów drugiej awangardy. Ale już po znamiennej ewolucji pojęcia, którego paradygmat za sprawą Norwida został zmieniony. To, co jest pojęciem na książkę, zasygnalizuję tu w paru słowach.

Przeszkodą i przeciwieństwem czynu wedle Norwida jest inercja, wypadek, traf i przydarzenie. Trzeba te stany przezwyciężyć i przezwyciężyć siebie na tej drodze. Pokolenie Norwida cierpiało w latach 40. XIX w. ucisk, prześladowania, rusyfikację. Ludzie myślący, przywódcy, wojskowi, artyści, dziennikarze- zastanawiali się nad przyczynami klęski powstania listopadowego

i drogą ku przyszłości: dla jednostki i narodu. Walka zbrojna była niemożliwa, bo brakło sił wewnętrznych i warunków międzynarodowych. Naród musiał się wzmocnić. Zmieniły się warunki cywilizacyjne. Norwid ironizował, że już nie człowieka wykuwa się dla zbroi, ale zbroję (czyli uzbrojenie) dla człowieka, słowem nawet niewyćwiczony żołnierz może rozporządzać potężnymi mocami i energiami, pod warunkiem że będzie dysponował wiedzą i umiejętnościami. Sam przecież wkraczał w nowe techniki plastyczne: litograficzne, fotograficzne. Dyskusje i niepokoje pokolenia Norwidowskiego wykrystalizowały się w teoriach, rozważaniach, doktrynach. Dwie z nich zapoczątkowały bodaj najdalej idące konsekwencje światopoglądowe. Antyromantyczna i rozległa kampania Bronisława Trentowskiego skierowana była przeciw poezji marzenia, fantazji, uczuciowości. Polemizowała też z zatapianiem się literatury jednostronnie w krainie baśni i przeszłości. W to miejsce proponowała odwrócić się ku teraźniejszości i przyszłości, szukać twardej podstawy w pracy organicznej, apelowała o namysł, o wiedzę, o poezję myślącą.

Zapewne jeszcze większy wpływ miał na umysłowość i nastawienie młodego poety myśliciel spotykany w salonie Łuszczewskiej od 1841 r., w redakcji „Biblioteki Warszawskiej" - Bronisław Trentowski. Przyjaźń z nim przetrwała zresztą długie lata i liczne próby. Nawoływał on do oszczędzania krwi i ludzi. Przerażony był myśliciel poświęcaniem całych grup i generacji narodu. Nie godził się z rewolucjonizowaniem się społeczeństw. „Nie gubcie swoich braci - nawoływał. - Jeśli chcecie ofiar - składajcie na stosie siebie samych jako jednostki". Potem Norwid do końca swoje cierpienie osobiste traktował jako ofiarę jednostkową dla ojczyzny i dla sztuki. Właśnie Trentowski zaczął w sposób przekonujący dla poety poszerzać pojęcie czynu, gdyż jest nim - nauczał - sumienność, rzetelność, postawa moralna.

Czyn wedle Norwida poprzedza faza wstępna, do niej należą inicjatywa, osąd, ocena. Sam termin miał godzić wszystkich ludzi dobrej woli, patriotów, solidarystów. Czynem będzie to, co Edward Dembowski pochwalał we wszelkiej rewolcie, ale tylko pod

warunkiem, że jest spełniane z miłością w imię słusznej sprawy. Natomiast w ciągu przytoczonych obrazów poetyckich widać, że będzie też - prawdomówność, poważna dyskusja, rozmowa, „pomnik szczerości", „arcydzieło pięknego charakteru", obowiązek złączony z dobrocią. Ale najwyraźniejsze przesunięcie na terenie pojęcia czynu to fakt, że dotychczas łączony z walką i akcją - został ostatecznie złączony i skojarzony z PRACĄ (wszak Mazowsze zawsze było ojczyzną pozytywistów). Nic dziwnego, że z pracą została też skontaminowana twórczość literacka i artystyczna. Sam Norwid nazywał się nieraz z dumą rzemieślnikiem, jako że pracował dzielnie i wytrwale, ponad siły. Z pracy czerpał godność, dumę, nadzieję w okresach klęski. Chciał udowodnić sobie i otoczeniu, że uda mu się dzięki rozwojowi, samokształceniu i pracowitości na wielu polach: pisarstwo, przekłady, malarstwo, grafika, rzeźba- utrzymać siebie, wypracować nowy styl narodowy i zapracować na szacunek rodaków. Wiele sensów miało westchnienie: „żeby słowo przeszło w chleb". Natomiast najszczytniejszym zadaniem literatury było pobudzanie do czynu, zmaterializowanie się w postaci pomnika czynu. Tyle tylko, że niewidzialnie, choć równie skutecznie artysta duchem rzeźbi. W ten sposób wszak usiłuje i potrafi on przebudować człowieka wewnętrznie, czyli dokonać rewolucji człowieka wewnętrznej: w jego umyśle, w sercu, przygotuje go do godziwej pracy, do twórczości, zgodnie z jego przeznaczeniem, wolą. Słowami sprawi, że będzie „zwolony" wobec przeznaczenia, wobec dylematu: żyć czy walczyć, całkowicie upodmiotowiony, zarówno na biegunie niepodległości kraju, jak też rozwoju społecznego i cywilizacyjnego. Ale obydwa te cele powinny być osiągnięte metodami zgodnymi z zasadami moralnymi i w duchu sprawiedliwości.

Reprezentantem czynu kalekiego, spaczonego, niebezpiecznego, nie „zwolonego", jest Szołom*, dobrze znany nam oszołom, pozbawiony współczucia, odrodzenia humanistycznego, tożsamości wspólnotowej, siły wznoszącej myśl do ideału. Wartość bowiem ma nie tylko myśl i praca, ale przede wszystkim wcielenie idei, upowszechnienie pracy dla przebudowy moralno-społecznej jednost-

ki i społeczności. Gdy rozważać te sprawy na tle obrazów i symboli Norwidowych, może się wydawać, że była to jedna z najbardziej wymyślnych polskich utopii. A jednak utopia ta jest obudowana tyloma propozycjami praktyki społecznej i realizacji prawdy „całożywotnej", a przy tym przykładami dzielności na co dzień - że nadawała sens wielu wspaniałych osobowości norwidologicznych.

Byłoby rzeczą nie do pomyślenia, gdyby Norwid przyjął jakiś symbol bezrefleksyjnie. Stąd i pojęcie ojczyzny nie było dlań oczywiste. Znamy jego definicje, że ojczyzna to zbiorowy obowiązek, nie miejsce na ziemi, ale w człowieku, to centrum w społeczności wolnych i równych. Ale też powodem bezpośrednich protestów przeciw użyciu tego hasła-sztandaru-mitu były formuły pierwszej generacji romantyków. Mickiewicz zawołał „Litwo, ojczyzno moja", odkrzyknięto mu: Ukraino, Karpaty, Wielkopolsko, Małopolsko... I oto na naszych oczach poeci dokonali nowego, tym razem symbolicznego rozbioru Polski. Norwid nie mógł na to pozwolić. Wracając do realiów i kultury wolnej Polski dostrzegł bardzo wcześnie, że Kochanowski też miał „kłopoty" z ojczyzną, to znaczy ze słowem „ojczyzna". Podczas gdy Rej z Nagłowic używał już w pełnym wymiarze i bezrefleksyjnie owego pojęcia, Kochanowski unikał go, omijał, kluczył i dopiero pod koniec życia parę razy go użył w naszym pojmowaniu. Natomiast ojczyzna jeszcze dla wieszcza z Czarnolasu bardziej znaczyła ojcowiznę niż wspólne dobro wszystkich Polaków. Czterdzieści procent współczesnych młodych Polaków znów nie rozumie pojęcia: Ojczyzna.

Wnikliwy uczeń dawnych tekstów i myślicieli Polski renesansowej, autor „Zwolona", wrócił do pojęcia Rzeczpospolitej, jako do republiki suwerennej wszystkich obywateli. Dla poety klasycyzującego było to odesłanie do starożytnego Rzymu i jego res publiki. Dla wnikliwie studiującego Biblię filozofa źródłem pojęcia rzecz - było dawne użycie słowa jako „mowy", modlitwy i słowa boskiego. Dla poety i plastyka słowo to tchnęło ciepłem, ponieważ pierwotnie związane było najściślej ze sprzętami domowymi (a więc ojczystymi). Nasze odrodzenie wyniosło termin Rzeczpo-

spolita bardzo wysoko, nasycając go reformami humanistycznymi, obywatelskimi, wolnościowymi i uczonymi (rzeczpospolita nauk). Ocierający się o zakony Norwid również usymbolicznił pojęcie rytuałem modlitewnym responsorium. Tak to rzeczpospolita wysunęła się przed pojęcie ojczyzny, a potem zaczęła promieniować coraz szerzej i dalej. Świat podzielił się na rzecz ludzką i rzecz boską. Najwyższe wzniesienie poetyckie przyjmowało postać rzeczy poetyckiej. Genialne dzieło Kochanowskiego stało się rzeczą czarnoleską. Pod tymi hasłami można było „zjednoczyć" język polski, a poprzez język wcielić ideały i zjednoczyć rodaków horyzontalnie i przekrojowo. Ponieważ przemilczenia jednej epoki stają się wygłosem następnej - Norwid wydobył „rzeczpospolitą", przemilczaną jako wygłos swego czasu, jako legendę, epopeję, historię, pojęcie rewolucyjne, a także anegdotyczne. Bo - warto przypomnieć młodym testament Norwida - godność pisarska, jej nadanie, bierze się „ze znajomości języka narodu", społeczeństwa i zgłębienia „ducha czasu swego, społeczeństwa swego - publiczności swojej". (Czy dorobimy się kiedyś słownika Norwida na podobieństwo słownika Paska i Mickiewicza?).

W imię staro-nowego, korzenno-kwietno-owocowego pojęcia „ojczyzny" namiętnie Norwid protestował przeciwko metaforom, hasłom i manifestom ojczyźnianym Mickiewicza. Do Józefa Bohdana Zaleskiego 24 kwietnia 1848 r. napisał m.in.: „M a n i f e s t ten (czyli „Skład zasad" Adama Mickiewicza) w pojęciu własności dąży do najzupełniejszego rozgminnienia: własność jest pojęta w nim dwojako: jako d z i e d z i c z n a i k o m u n a l n a - ale dziedziczna oddana pod opiekę komunalnej, a komunalna narodowej - gdy tymczasem n a r o d u już tam nie ma. (U Mickiewicza w p. 13: „Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy. Każdej gminie rola gromadna pod opieką narodu"). „Bo gdzie naród bez rodów - a rodom prawa nie przyznaje. Jest to zwrot od k w i a t u d o k o r z e n i a, o d n a r o d u d o p l e m i e n i a". A początek akapitu jest ostatecznym podsumowaniem kwestii ojczyzny dużej i małej: „Manifest ten w Polskości dąży do zupełnego wyniszczenia wszelkiej tradycyjnej

Ojczystości: Ojczyzna jest to tylko miejsce, ale czasu w niej nie ma - jest to tylko miejsce najpróżniejsze -najpiękniejsza arena. I dlatego ziemią nazwana obiecaną, że tam najłatwiej wznieść gmach nowy i nową próbę społeczeńską - ona jest dlatego tyle drogą iż niczym jest".

*Szołom uosabia następujące cechy: *zewnętrzna miłość, formalna, jednocząca przeciwności nie w sercu, ale w podłości i frazesach pochlebnych - gałgan - dyplomacja - tchórzostwo - przedajność - zewnętrzna filozofia - doktryna.*

Postscriptum:

„Nowa Europa (napisał Andreas Wirth) - jeśli chce przetrwać - określając swoją tożsamość musi brać pod uwagę swe obrzeża. Tam zderzają się ląd i woda, tam sięga azjatycki step, tam żyją ludy od wieków przepędzane z miejsca na miejsce. Europa musi pamiętać o tych, którzy żyją na marginesie - o słabych, biednych, uchodźcach, azylantach, o wszelkiego rodzaju outsiderach. Centrum nie może być sobą, gdyby nie miało obrzeży, gdyby nie było tych wszystkich wykorzystywanych i wyzyskiwanych, używanych i nadużywanych. Ludzi, którzy uciekli w emigrację wewnętrzną lub zewnętrzną, albo błąkają się w krajobrazie umysłu - wędrowców, wagabundów, bezdomnych, wiecznych poszukiwaczy. Obcych, obcych we własnym kraju, cudzoziemców. Więźniów, szaleńców, jasnowidzów. Odbierałem Ziemię niczyją (spektakl Teatru Ósmego Dnia) jako atak na zasiedziałość, na tłuste tyłki, które siedzą i posiadają, i nie pozwolą nikomu usiąść obok".

(„Dialog" 1993 nr 1-2)

Zetknięcie mądrego regionalizmu z mądrym centralizmem wytwarza zdrowe pożyteczne napięcie, wzajemne potrzeby, strefy zdrowej rywalizacji. Zetknięcie centrum z peryferiami na prawach „rynku", wedle reguł zapasów: kto kogo przechytrzy i wywiedzie w pole - to nieszczęście wyniszczającej, bezproduktywnej „wolnej amerykanki". Mądry centralizm stwarza forum dla ludzi „obwarzanka", konfrontuje ich, ceni sobie ich różnorodność, nie obdziera ich z dóbr materialnych i duchowych. Ale też nie dopuszcza do wyniszczającej rywalizacji. W miarę potrzeby niszczy fanatyzm i nierozumny partykularyzm. Stawia na dobre wzory. Pozwala czuć się regionem kraju, ale też regionem kontynentu. Bezustannie poszukuje pól wspólnych i wspólnotowych. Szanuje twórczych ludzi „mniejszego horyzontu". Dopuszcza ich do współrządzenia. Pomaga wyjść z ew. „gangsterskiej" dominacji w środowiskach lokalnych, narzucanej przez jednostki i wąskie środowiska (politykierskie, ekonomiczne, administracyjne).

Wielki zbiorowy obowiązek

„Nie znam pisarza, który by u nas lepiej od Norwida wychowywał ludzi do dojrzałości dziejowej" pisał W. Borowy „O Norwidzie". Jednym z najoryginalniejszych myślicieli polskich romantyzmu, w którego poglądach nowatorstwo i odkrywczość przenika się z anachronizmem i niekiedy nawet dziwactwem. Norwid był surowym krytykiem cywilizacji nowożytnej i jednocześnie bezkrytyczny wobec własnych poglądów i przekonań. Bolał, że rozwojowi możliwości człowieka nie odpowiada rozwój jego moralności i cnót społecznych. Przeciwnik poglądów romantyków, nie potrafił wyjść poza nurt narodowej melancholii. Kołysanie do błogiego snu słowem litościwym, bo los jest bezlitosny, uczyniło - jego zdaniem - ze smutku i braku swobody narodową dumę, w której schemat wielkości i wyjątkowości Polaków wobec świata kontynuowała większość późniejszych twórców. Nadało to literaturze wewnętrzny charakter, zrozumiały mieszkańcom tej ziemi. Literaturze służącej bardziej chwale narodu niż prawdzie.

Norwid lekceważył światopogląd pozytywistyczny, uznając go za niegodny poważnej refleksji. W wielu sądach o cywilizacji zadziwia przenikliwością, ale są to też opinie niesprawiedliwe. „Praca jest tak dalece samodzielnością" - wywodził - „iż najemnik ulicę brukujący, jeśli tylko tak jak drudzy ręką rusza", a nie wkłada w robotę swego oryginalnego akcentu... „to próżniak". W wierszu „Prac czoło" pisze: „ najprostszy cieśla, co robi toporem /choćby nie wiem jak był pracowity /... /jeżeli w duszy smutek ma ukryty /... /wyrobić musi pierw i umysłu- stałość /bez której nie ma sił, ciągu i zysku /więc prac początek, pierwsza prac litera /nie to, co wasza dziś realna- szkoła /uczy- zarówno płytka, jak nieszczera: /Pracować musisz zawsze z potem- czoła!". Czyli jak wyjaśnia, pracować należy umysłem. Człowiek mimo swej pracowitości nie jest w stanie pracować skutecznie, najpierw powinien

osiągnąć umysłu- stałość, pokój wewnętrzny i równowagę ducha będącą koniecznym warunkiem działania. W liście do Trąbickiej (1854) poeta pisał o pracy: „mniej dla zysku" materialnego, a „więcej dla owoców przyszłych w Zbawicielu". Zaznacza, że człowieka skazał na pracę sam Bóg. Pracę nazywa „zguby szukaniem", gdyż „praca z grzechu pochodzi", a powinna być miłością ulżona (list do M. Dziekońskiej 1852). „Odkupywać ciężar pracy miłością twórczą, to jest raczej do czynienia stojącemu w prawdzie obowiązku". W „Rzeczy o wolności słowa" mówi, że praca jest czynnikiem przywracającym człowiekowi pierwotne wartości, lecz traktuje ją jako pewnego rodzaju zabawę nie wymagającą wysiłku, ani kształtującą osobowość. Sugeruje, że praca nie przynosi jej wykonawcy poważniejszych wyników.

Norwid proponował powołanie w kraju Towarzystwa Przyjaciół Pracy- które zajęłoby się moralnymi, zawodowymi i materialnymi aspektami pracowniczej egzystencji. Postulaty, których chęć realizacji przejęły kilka dziesięcioleci później związki zawodowe. Dzięki ich wdrażaniu nie uzyskano optymalnego zaangażowania, pomysłowości, lojalności, dbałości, zadowolenia z efektów wśród pracowników, zaś rozwinął się socjalny model pracy kładący szczególny akcent na podmiot, a nie na przedmiot działania. W liście do Bronisława Zalewskiego Norwid pisał: „włości możnych, ich parki, ich wille - są zbytkiem, jeżeli nie należą do monumentalności historycznej narodu i cywilizacji".

W Polsce konieczna jest przemiana naszego „romantycznego" pojmowania życia na bardziej pragmatyczne, gdzie za włożony wysiłek otrzymuje się wyrób, a nie mało praktyczne idee, gdzie system edukacyjny nie będzie produkował lękliwych, ospałych i leniwych inteligentów, oczekujących od otoczenia pomysłu na życie, którzy nie potrafią odpowiedzieć na pytanie, co umieją robić najlepiej. Młodzież oczekuje „podpowiedzi", czym powinna się zająć, czego nauczyć, a co uznać za ważne dla swojej przyszłości. Wiedzą tylko, ile by chcieli zarabiać. Na takie postawy mają również wpływ norwidowskie wskazówki. W wierszu „Praca" poeta mówi, że nie można żądać od narodu „by jednym krokiem

się przerzucał /z historii jatek krwawych do warsztatów" i tam wydajnie pracował („Co począć"). Celowa i sensowna jest tylko praca wykonywana z myślą o Bogu („Do Spartakusa"), a stymulatorem jej efektywności jest pokój sumienia i wolność „o ile wolniejszym jest społeczeństwo, o tyle dzielniejszą jest i praca".

W liście do Michaliny Dziekońskiej (1862) Norwid pisał: „Gdyby Ojczyzna nasza była tak dzielnym społeczeństwem we wszystkich człowieka obowiązkach, jak znakomitym jest narodem we wszystkich Polaka poczuciach, tędy bylibyśmy na nogach dwóch, osoby całe i poważne - monumentalnie znakomite. Ale tak, jak dziś jest, to Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł - i jesteśmy karykatury i jesteśmy tragiczna nicość i śmiech olbrzymi. (...) Słońce nad Polakiem wstawa, ale zasłania swe oczy nad człowiekiem". Przeciwstawił swój obraz Polaka uwikłanego w powszechną codzienność patosowi romantycznej wypowiedzi o bohaterach narodowych. „Grubijanie bez serca i sumienia od czasu do czasu gniewający się, że im maltretują tradycje i język, i uczucia narodowe, a depcący od rana do wieczora płuca własne człowieka - zbiorowego pospolitej rzeczy".

Nasuwa się pytanie: Czy nieprzemijająca wartość dzieł Norwida z ponadczasową problematyką moralizatorską wyrażoną w sposób artystycznie doskonały jest w stanie wychować Polaka tolerancyjnego, kreatywnego, aktywnego, z inicjatywą, przyjaznego dla odmiennych religii i kultur, zdolnego poświęcić się rywalizacji gospodarczej narodów początku XXI wieku? Sądził, że nie ilość stawianych pomników i krzyży świadczy o wielkości i sile społecznej, ale wspólne zaangażowanie w przemianę cywilizacji, w której inteligencja społeczna ma ogromne znaczenie, decyduje bowiem o sukcesie, sukces zaś jest wynikiem aktywności grup.

Marek Adamiec pisze: „w okresie PRL posługiwano się urywkami z utworów Norwida do zwalczania... inteligencji, zaś powoływanie się na jego biografię stało się zwyczajem rozmaitych miernot intelektualnych, moralnych i artystycznych". Powstał społeczny mit człowieka dobrego bo ubogiego, człowieka biednego, więc uczciwego.

Cyprian K. Norwid: „Jankiel", 1848 r.

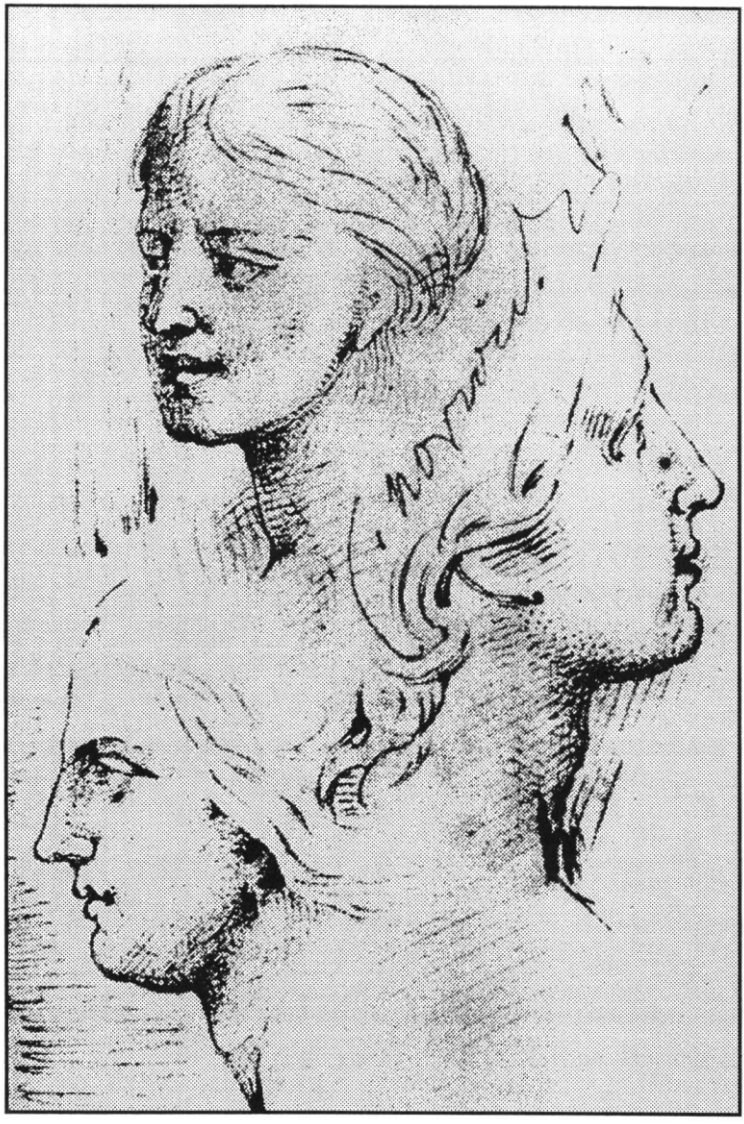

Cyprian K. Norwid: Studium głowy

Życie

Życie się skraca szarzeje
obym mogła w to... nie wierzyć
kiedyś ziarenko szczęścia mi darowano
zakorzeniło się dojrzewało w treści

We wspomnieniach widzę ten obraz
w myślach czuję i słyszę
a przecież tego już nie ma
tylko się śni

Na palecie pleców przyswojony garb
razem z dłońmi zmęczenie łagodzi
cyrograf życia w cieniu się ukrył
przemijających dni
2001 r.

Moje dożywanie
I

Tu właśnie tu
otwieram drzwi okno
to wszystko co mogę
odciskam ślady stóp
o krok od progu

Co było jest na zawsze
wiem, że tylko moje
te głosy odległe widoki
z duszy wychodzą
gdy wracam do wzruszeń

Gdy bezmiar spraw
czy nici pajęczych motek...
przewijam wiążę jak korale
które mi niegdyś
ktoś podarował...
marzec 2001 r.

Moje dożywanie
II

Tu na miedzy
w osłonie traw zieloności
stopy w rosy chłodzie
zbieram słodyczy nektar

Wpatrzone oczy w dal
w rozległy bezkres horyzontu
szukają myśli słowa
by doznać tego piękna

Odmienione kroki godzin
rozkładają swoją księgę
już nic nie boli
ani śladu cienia

Wiatr rozsiewa samosieje
maki chabry kąkole
z woli czy swawoli
pod nogi mi skłania
marzec 2001

W szpitalu

Gdy niespodziany ból szarpie
przygarną szpitalne ściany
przestrzenie pełne uczynków
w rytmie ciszy i bieli

Z oka mgłą i łzą
przedzierasz się do szyby
zanurzasz w miejscu widoku
i... gdzie jesteś uwierzysz

Z bólem, dzień po dniu
przywierasz stopę do ziemi
wyrzucasz ból z palców zastałych
z trudem i tak powoli...
- jak powoli przychodzi nadzieja
2001 r.

Na krawędzi

Na krawędzi...
na wybojach...
w napaści...
nie omija postoju
z towarzyszem
kuflem piwnej polewki
zalewa gardło
kaleczy język
Betonowe nogi wloką
w urojony świat
świat złudy
mocnej jak powróz
za ścianą bez wyjścia
niekiedy słychać
głosu pobolewanie
odchodzi życie...
- za życie...
głód zalał po strzępy...
2001 r.

Kwiaty

W ściółce kwitnienia
zbierają kolory lata
karmią pszczele rodziny
kroplami serca...

Zwarte w rabatach
płoną ogniem oczu
wyciągają ramiona
do spotkań powitań...

Kwiaty - w drodze ostatniej...
na nagrobnych płytach
w bukietach czuwają
nad spokojem i ciszą...
2001 r.

Ściana

Za ścianą mrok
cały świat i człowiek
czuję ścianę niepokoju
do głębi miejsca dosięga...

Za szybą czy obok
ze zmęczoną ciała połową
niepewny siebie dnia
chwil żadnych... słów

Ściana przyjaciel myśli
wśród bieli jej twarzy
oczy wśród obrazów
pamięcią ciszy kołysze...
2001 r.

My ZMP, reakcji nie boimy się...

Jak w starości upajać się błękitem nieba i kolorami jesieni? Blask słońca nie zachwyca jak w młodości. Zmarnowało się życie, które stało się nagie, bezbarwne, i co dalej? Dolina bez wyjścia. W młodości myślało się, że przebuduje się świat, wprowadzi się nowe idee i ludzie będą żyć szczęśliwie. Dorobiłem się 600 zł emerytury i co mam z tego?

Byłem już rosłym chłopakiem, Niemiec został przepędzony, zjawiła się Armia Czerwona, a za nią szła nowa władza ludowa, socjalistyczna, głosząca równość między ludźmi, tylko trzeba rozprawić się z burżuazją i kułakami. Wstąpiłem zaraz do KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego), przyjęli mnie mimo 17 lat. Klasowo byłem pewny jako syn biedniaka. Skoszarowano mnie. Dostałem broń i dzień w dzień brałem udział w szkoleniu. Mówiono o miłości do wielkiego wodza, jakim jest towarzysz Józef Wissarionowicz Stalin, pogromca faszyzmu, budowniczy nowego ustroju sprawiedliwości społecznej na świecie. Wykładano o braterstwie ludzi radzieckich, ich szczęśliwym życiu; a nam, Polakom, daleko jeszcze do tych narodów. Trzeba było dogonić Związek Radziecki.

Potem skierowano mnie, bo byłem operatywny, do pracy w Związku Walki Młodych, aby przestrzegać ideologii socjalistycznej i być wyczulonym na wszystkie odchylenia. Po pewnym czasie wyjechałem na kurs do Lublina. Wykładali tam aktywiści ze Związku Radzieckiego i polscy komuniści sprzed 1939 r. Na zakończenie kursu złożyliśmy przysięgę na wierność tow. Stalinowi, Związkowi Radzieckiemu i Polsce Ludowej oraz walce z burżuazją, kułakami i klerem.

- Idźcie i wcielajcie w czyn ideologię marksistowsko-leninowską i towarzysza Generalissimusa Stalina, wielkiego przywódcy mas pracujących miast i wsi - brzmiały zalecenia. Tak naładowany o walce klas wróciłem do miasteczka ważny i pełen zapału do roboty.

Rano chodziłem do urzędu, słuchałem sprawozdań od zwiadowców, co się zdarzyło w nocy, czego dokonało reakcyjne podziemie. Określano zadania na dzień bieżący. Mnie, który przeszedłem szkolenie ideologiczne na specjalnym poziomie dla ludzi zaufanych, a kierowanym przez komitet centralny PPR, przeznaczono do prowadzenia szkoleń dla członków PPR-u w szkołach dla starszej młodzieży. Wieczorami czytałem książki i broszury marksistowskie, dzieła Lenina i nieśmiertelnego Stalina. Czytanie szło mi płynnie, pisanie wolniej i robiłem błędy. Cóż żądać, kiedy skończyło się cztery oddziały wiejskiej szkółki? Trudności miałem też w opanowaniu alfabetu, którym posługiwały się narody Kraju Rad. Mówiono nam na kursie, że każdy człowiek, którego partia darzy zaufaniem i powierza mu odpowiednie czynności, winien znać nie tylko język rosyjski, ale nauczyć się płynnie pisać i czytać, aby swobodnie korzystać w oryginale z lektur radzieckich. Pamiętam słowa wykładowcy: „Większość z was, towarzysze, będzie skierowana na szkolenia do Moskwy lub do innych miast radzieckich, a tam wykłady będą odbywać się wyłącznie w języku rosyjskim".

Czasem wyjeżdżałem z KBW samochodami w teren. Uczestnicy wyjazdu byli uzbrojeni, a ja lubiłem jechać z pepeszą i postrzelać do wrogów klasowych. Otaczało się laski, otaczało się wioski. Dochodzeniowi wiedzieli, kogo aresztować i zamknąć. Wsadzało się takich do ciemnych piwnic, w których woda sięgała do kostek. Uwięzieni siedzieli na pryczach, a wstawali tylko do kibla. Potem wywoziło się ich do łagru w Popowie za Serockiem w kierunku Wyszkowa, a stamtąd na białe niedźwiedzie, jeśli taki wróg Polski Ludowej przeżył.

Następnie polecono nam przygotować się do zjednoczenia organizacji młodzieżowych w jeden związek. I tak Związek Walki Młodych, Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici" i Związek Młodzieży Demokratycznej zjednoczyły się w ZMP (Związek Młodzieży Polskiej). Byłem we Wrocławiu na Kongresie Zjednoczeniowym w 1948 r.

Zaraz po zjednoczeniu kierowniczą kadrę ze wszystkich miast i miasteczek skierowano na kursy przygotowawcze. ZMP prowa-

dzić miał pracę wychowawczą i propagandową w środowisku młodzieżowym.

Na szkoleniach w Warszawie, Łodzi mówiono nam wyraźnie, że naszą działalnością nadrzędną jest laicyzacja i ateizacja społeczeństwa, że trzeba „natężyć" walkę z kulturą chrześcijańską, która jest główną przeszkodą w szerzeniu idei internacjonalistycznych. Mieliśmy mówić o takich bohaterach, jak Kostka Napierski, Jakub Szela, Kościuszko, Kniewski, Rutkowski, Okrzeja, Waryński, Marceli Nowotko, Bolesław Bierut, Konstanty Rokossowski i inni.

Na jednym z takich szkoleń, nie pamiętam teraz, w którym to roku było, mówiono, aby zwalczać tworzące się latające uniwersytety kierowane i organizowane przez kler, bo Kościół ma powiązania z imperializmem anglo-amerykańskim i reakcyjnym podziemiem. Aby to zrobić, należało wprowadzić inne, socjalistyczne obyczaje. Walczyć z moralnością klerykalno-burżuazyjną w imię nowej przyszłości. Wtedy nie będzie społeczeństwu potrzebny pieniądz, a mężczyzna z kobietą żyłby w wolnym związku, natomiast dzieci zrodzone z takich miłostek trafiałyby do placówek opiekuńczych.

Na tym kursie były koleżanki, z którymi można było się przespać, a wieczorami lała się strumieniem wódka. Przy stolikach wykrzykiwaliśmy: „Precz z klerem!", „Precz z kułakami!", „Precz z piłsudczykami i burżujami!", „Przyszłość należy do nas!", „My ZMP, reakcji nie boimy się" - śpiewaliśmy na całe gardło. „Niech żyje nam towarzysz Stalin, co usta słodsze ma od malin" i inne takie piosenki.

Zaraz po powrocie z kursu zarządziłem dodatkowe śledzenie miejscowego proboszcza, w dzień i w nocy. Na mszę wysyłałem dwóch agentów, aby zapamiętali, co ksiądz mówi na kazaniu i złożyli mi sprawozdania. Wszystkich prelegentów zobowiązałem do prowadzenia systematycznych pogadanek dla kół ZMP-owskich i harcerskich. Trzeba było przygotować kadrę, ponieważ harcerstwo opierało się jeszcze na skautingu - organizacji imperialistycznej. I w niedługim czasie miało przyjąć zasady pionierskie, na wzór istniejących w Kraju Rad.

Kiedy zmarł Stalin 5 marca 1953 r., to wie pan, że płakać się chciało. Tak byłem przejęty, że nie wiedziałem, co robić. Zdawało mi się, że wszystko się skończyło. Wykształciło się mniemanie, że towarzysz Stalin jest nieśmiertelny. A tu śmierć zabrała człowieka, któremu oddawało się boską cześć...

Żałoba objęła cały socjalistyczny świat, wszystkie miasta i wioski. Nasi ludzie zostali wysłani w teren, aby emblematy żałoby znajdowały się w każdej wsi i osadzie. W największej świetlicy naszego miasta postawiliśmy na katafalku symboliczną trumnę. Były honorowe warty, wprowadziliśmy całodobowe czuwanie młodzieży ZMP-owskiej i aktywu partyjnego. Przy trumnie nie mogła składać hołdu młodzież klasowo obca, a więc kułacka, kupiecka, rzemieślnicza i klerykalna.

Potem odbywały się zebrania żałobne w komitetach partyjnych na cześć wielkiego Stalina. W naszym mieście przemianowano najdłuższą ulicę z ulicy Sienkiewicza na ulicę Generalissimusa Józefa Stalina, a dom kultury im. M. Konopnickiej otrzymał nazwę wielkiego wodza rewolucji proletariackiej, towarzysza Józefa Wissarionowicza Stalina.

W połowie kwietnia 1953 r. otrzymałem wiadomość z domu, że dziadek zasłabł. Kazałem się zawieźć willisem.

***

Na powitanie syn tylko matkę pocałował w rękę, z resztą rodziny ucałował się tylko w twarz. Podszedł do leżącego na łóżku dziadka i też pocałował go w policzek. Było w zwyczaju, że ojca, dziadka należy na przywitanie pocałować w rękę. Rodzina trochę się dziwiła, ale przyjęła takie zachowanie za miejskie.
Wchodząc do pokoju, ojciec zagadnął: - Widzę, że ci się nieźle, synu, powodzi. Samochód cię przywiózł...
- Czy ja wiem, czy dobrze? - I po namyśle dodał: - Ja się rzuciłem w wir budowy społeczeństwa sprawiedliwego, aby jeden człowiek nie wyzyskiwał drugiego, aby panowała życzliwość i braterstwo.
- Mówisz, jak jest napisane w Ewangelii.
- Co tam Ewangelia! To opium dla mas - tak się wyraził twórca

naukowego socjalizmu, Karol Marks, przed stu laty. Od 1917 r. Lenin, a potem wielki Stalin, wcielali zasady komunizmu. Szkoda, że ten geniusz niedawno zmarł.
- Wiem, wiem - odrzekł ojciec. - Spędzali nas do remizy strażackiej na oddanie hołdu Stalinowi. A chłop, jak chłop. Jeden kpił sobie, drugi dowcipkował, a któryś powiedział, żeby odmówić litanię za zmarłego. Powstał śmiech. Dobrze, że tajniaków nie było, bo by go aresztowali, sądzili lub wywieźli na białe niedźwiedzie. Teraz to gorzej jak za Niemca. Nie wiesz, z kim rozmawiasz, kto może cię zadenuncjować. Wszędzie kręci się pełno tajniaków.
- Chcąc sprawować władzę, tato, trzeba mieć wywiad i kontrwywiad.
- Już niejeden chciał uszczęśliwić świat - mówił ojciec. - Rzucał hasła. Jakaś grupa społeczna podchwytuje nowinki i głosi, że stworzy raj na ziemi. Poczytaj tylko Pismo Święte.
- Tato! To wszystko burżuazyjne i historyczne kłamstwa! Posiadacze tworzyli przez wieki swoje prawa, ogłupiali masy, aby je mogli bardziej ciemiężyć i wyzyskiwać. Teraz nadeszła nowa era, czas przebudowy świata...
- Słychać, co mówią - podniesionym głosem ojciec przerwał wywody syna.
- Wspólny kościół, wspólne baby i wszystko wspólne, niedługo u nas będziecie zakładać kołchozy i sowchozy, a wtedy cały naród powstanie przeciwko wam. W pierwszym szeregu pójdą ci nadziałowcy. Oni są przeciwko wam, bo zostali oszukani.

Syn stał, zagryzł wargi, nie spodziewał się w domu proletariackim tak „wstecznego" myślenia. Chciał wejść w słowo ojcu, ale rodzic nerwowo mówił i z naciskiem dowodził dalej.
- Przypatrz się zwierzętom, jak one walczą o swój rewir, o prawo posiadania...
- Tata dyskusję chce sprowadzić do zwierząt - oburzył się syn.
- Tak dowodził Darwin, którego na siłę włączacie do swej ideologii. Popatrz na dzieci, przecież te boskie stworzonka nie chcą dzielić się zabawką z innymi dziećmi, wyrywają sobie z rączek - dowodził rodzic.
- Stwierdzam, że tata nic nie rozumie, bo nie czyta uczonych

dzieł i - dodał po chwili ściszonym głosem - jak można czytać, jeśli się ledwie sylabizuje.
- Wszystkiego czytać mi nie trzeba, zgłupiałby człowiek od tych jednostronnych wiadomości. Ludzie przestali czytać „Rolnika", a kiedyś co czwarty dom prenumerował gazetę. Teraz nie ma w niej nic, tylko propaganda, tasiemcowe przemówienia członków biura politycznego, wystąpienia przywódców Związku Radzieckiego i tego twojego wodza.
- Tato! Tak nie można! Towarzysz Stalin to geniusz nowych czasów!
- Początkowo - dowodził stary - wierzyłem w te wasze idee, schlebiałem im, lecz gdy się przekonałem, że to łgarstwo, powróciłem do utrwalonych przez wieki prawd. Wystarczy mi, jeśli nauczyciel mądrze powie na zebraniu, a proboszcz na kazaniu wytłumaczy Pismo i podtrzyma ludzi na duchu, bo przez nasz kraj przetacza się strach o własny byt i życie. - I po namyśle dodał: - Wiesz Franku, że mieliśmy cztery i pół hektara ziemi. Z parcelacji dobrałem jeszcze pięć, bo tak było wolno. Półtora hektara kupiłem po Wiśniewskich, którzy zginęli w obozie koncentracyjnym. Niemcy wymordowali całą rodzinę za ukrywanie partyzantów. Mam teraz 11 hektarów, stałem się średniakiem i patrzy się na mnie koso. Nawozy sztuczne może kupić tylko małorolny, potem odsprzedaje je kułakowi. Średniak może nabyć je dopiero w drugiej kolejności. Kułak wcale.

Siedząc przy stole Franek nie odzywał się. Udawał, że słucha wywodów ojca. Ojciec zaś uznał, że ma cierpliwego słuchacza, wyrzucał z siebie myśli, które nurtowały go od dawna. Wyjął paczkę papierosów, poczęstował syna. Dym wypełnił pokój. Ojciec splunął i zaczął rozmowę.
- Pamiętasz ciotkę Danusię i wuja Mariana? Ona jest moją wujeczną siostrą. Ojciec Mariana ciężko pracował, pojechał do USA na zarobek, wrócił z forsą, dokupił ziemi i teraz jest kułakiem. Dzieci ich nie mogą dostać się na uczelnię, bo w ankietach wpisuje się ilość hektarów i to wystarczy. Na uczelni pracuje komisja ideologiczna złożona z ZMP-owców, która nie przepuści klasowo obcego młodzieńca, choćby był najzdolniejszy.

- To są reakcjoniści! - wykrzyknął Franek. - Wcześniej czy później odejdzie taki od budowy socjalizmu, nie będą go obchodzić nauki Marksa, Engelsa, Lenina i wcielającego w życie te nauki proletariackie Stalina!
- Czy ja, synu, mogę z tobą uczciwie porozmawiać? Za dużo jest upokorzonych i pokrzywdzonych ludzi, i chcesz, żeby nie było oporu? Panuje strach. A sądownictwo jest zbrodnicze. Skazywani są niewinni ludzie. Powiadają, że ktoś w gazetę z wizerunkiem Stalina owinął śledzie i dostał sześć lat odsiadki. A ile aresztowano ludzi, którzy walczyli z okupantem, należeli do AK, a teraz za tę przynależność siedzą.
- Więziennictwo radzieckie jest sprawiedliwe, humanitarne. Dla naszych prawników to wzór. Ci, którzy siedzą, są winni - odrzekł podenerwowany syn.
- Nie politykujcie - rzekła matka, wchodząc do pokoju. - Będzie zaraz posiłek. Chłopy, jak się zejdą, to zaraz o polityce gadają i kłócą się. I wojny ma nie być?
- Wojna trwa nadal - odpowiedział Franek. - Tylko teraz walczy się z burżuazją, ciemnotą wiejską i klerem.

Matce nie podobały się słowa syna. Chciała się dopytać, jak mu się wiedzie, gdzie pracuje, ile zarabia, a tu padają zdania o walce z Kościołem i pośrednio z wsią, poglądami i mentalnością chłopską.
- Widzisz syneczku, wojna zawsze kosztuje. To bolszewicka metoda „łapać wroga" czy on jest, czy go nie ma. W 1945 r., kiedy weszła Armia Czerwona, żołnierze rabowali, gwałcili. Zatrzymał się w naszym domu na kwaterze starszyna. W przypływie szczerości powiedział, że Stalin to potwór. Założył łagry, zburzył cerkwie, zagłodził swój naród. - Twarz matki stała się smutna, z zatroskaniem powiedziała:
- Pamiętaj synku, jeśli za daleko się posunąłeś, to zrezygnuj, i to szybko. To wszystko musi runąć, bo tak nie może być dalej, naród nie wytrzyma. Pamiętaj o tym!
- Ale dość tych gadek, siadajcie do stołu. Zaraz powinny nadejść Marysia i Hanka. Poszły na trzecią wieś do wuja Mariana, pomóc w sadzeniu ziemniaków. Jeszcze rok temu można było wynająć

ludzi z Kurpiowszczyzny, ale potem jeździli tacy w czerwonych krawatach i wyganiali robotników, a tego, który ich zatrudniał, stawiali przed kolegium, dawali domiary. Smoleńskiego aresztowali na trzy tygodnie.
- Tego Zimaka z Kijewic? - zapytał mieszczuch.
- Tak - padła odpowiedź.
- I słusznie - stwierdził Franek. - Z tej rodziny wywodził się burżuazyjny historyk, który łgał ile wlezie.
- To był wybitny historyk Władysław Smoleński - odezwał się ojciec. - Rozsławił nasze Mazowsze, stryjeczny brat Zimaka, urodzony w Grabienicach.
- E, tam!- zaprzeczył syn.- Jeden z nich jest duchownym i bliskim współpracownikiem kardynała Sapiehy. Sama reakcja - i odwrócił się do okna.
- O! Dzień dobry, dzień dobry, Franiu! - weszły do izby siostry.
- Dawno nie byłeś, chyba ze dwa lata, a może i więcej.
- Blisko trzy będzie, pracuje się od rana do nocy - odrzekł brat.
- Słyszałyśmy, że jesteś figurą, rządzisz, samochód cię wozi. A ile ci płacą? Kiedy się żenisz? Tylko weź dziewczynę z niedaleka, bo na ślub czym dojechać, kiedy daleko będzie wesele - dziewczyny wrzeszczały, zadając pytania, nie dały nikomu dojść do słowa.
- A wiesz? - informowała Marysia - że do Hani przyjeżdża szofer z miasta? Jeździ ciężarowym samochodem na budowie.
- Nie gadaj, nie gadaj, do ciebie przyjeżdża traktorzysta - powiedziała Hanka.
- A może ty, Franiu, znalazłbyś dla nas pracę w mieście? Obojętnie jaką - prosiły siostry.
- Pracę znalazłbym, i to w komitecie, tylko trzeba by zerwać z poglądami idealistycznymi i służyć sprawie proletariackiej.
- Jak to zrozumieć? - zapytała Marysia.
- No, trzeba by było długo tłumaczyć, przejść wiele szkoleń, zerwać z zapatrywaniami i nawykami, włączyć się bezkompromisowo w budowę socjalizmu.

Dziewczyny niewiele rozumiały, co mówił brat. One chciały pra-

cować, i to w mieście, a co będą robić, to druga sprawa. Chciały szybko znaleźć chłopaka i iść na swoje.

Gdy skończono wieczerzać, czerwone słońce już chowało się za pagórki. Franek poszedł do następnej izby, gdzie dziadek spokojnie leżał w łóżku. Od paru dni się nie podnosił. Nogi odmówiły posłuszeństwa, słabł, stracił apetyt.

- Raduję się, żeś przyjechał i mogę cię przed śmiercią zobaczyć. Od dzieciństwa byłeś rozsądny, dobrze się uczyłeś. Szkoda, że ta przeklęta wojna przyszła. Zaszedłbyś daleko. Na twoją naukę przekazałbym wszystkie swoje oszczędności - mówił dziadek, a w jego głosie wyczuwało się jakieś proroctwo i dostojeństwo. Mówił wolno, z namysłem.

- Podłóż mi wyżej poduszkę pod głowę.

Franek spełnił prośbę dziadka.

- A teraz to się uczysz? - zapytał starzec.

- I tak, i nie. - Po chwili dodał: - Nie trzeba mi się uczyć, mam dobrze płatną pracę.

- Praca raz jest, raz jej nie ma. Ale tego co w głowie nikt nie zabierze - z powagą stwierdził wiekowy antenat.

- Pamiętaj, mój wnuku, wszystko na świecie ma swój początek i koniec. A życie trzeba przeżyć godnie, aby stanąć przed Bogiem z czystym sumieniem. Kiedy zaczęły przenikać nowinki komunistyczne, ludzie po kryjomu czytali Marksa i Lenina. Podobały mi się te teorie. Jednak kiedy przyszła wojna bolszewicka, przekonałem się, że to wszystko kłamstwo. Teoria niby wspaniała, a w praktyce złodziejstwo, brak poszanowania elementarnych praw. Zbrodnie na każdym kroku. Były gwałty, morderstwa, rabunki. Starszyna strzelał do swych podwładnych za byle co. A przecież służyłem w armii carskiej podczas I wojny światowej i było normalnie. Jestem oswojony ze śmiercią. Przyszła starość i ciało trzeba oddać ziemi jako proch, a dusza frunie tam wysoko, do Tego, który nadał wszystkiemu sens. Nigdy nie myśl, że jesteś sam, choćbyś był na bezludnej wyspie. Wtedy westchnij głęboko i przywołaj Stwórcę do siebie. Będzie ci raźniej i przetrwasz wszystko. Ja miałem gorzej jak na bezludnej wyspie, bo byliśmy otoczeni przez wojska niemieckie - dzia-

dek przekręcił się na łóżku i wyciągnął książeczkę do nabożeństwa spod poduszki. Pocałował okładkę, na której widniał krzyż.
- Z tą świętością nigdy się nie rozstawałem - i położył święty foliał na piersi. - Rwały się nade mną bomby, wszyscy koledzy żołnierze zginęli, a ja w czasie tej kanonady leżałem w zagłębieniu i modliłem się do Matki Najświętszej. Przeżyłem.

Franek milczał. Niech sobie stary pogada... Trzeba jechać do swego - myślał. Zgłupiałoby się w tym wstecznym środowisku. Wstał i zapytał domowników, gdzie tu znajduje się najbliższy telefon.
- W gminie na pewno jest, ale to parę kilometrów stąd. Może nauczyciel ma, takiemu partyjniakowi pewnie założyli. Śledzi całą okolicę i wszystko donosi. Powiadają, że przez niego niejeden został aresztowany. Partyzanci kiedyś w nocy przyszli do niego, stłukli mu tyłek i zagrozili, że jeśli będzie donosił na niewinnych ludzi, to poszatkują mu łeb. Trochę się uspokoiło w terenie, ale ludzie są podejrzliwi i unikają z nim styczności. Ktoś mu kiedyś wygarnął na zebraniu rodzicielskim, że się nie nadaje do pełnienia funkcji nauczyciela. Za tydzień ni stad, ni zowąd przyjechało UB pod dom tego, który zabierał głos na zebraniu komitetu rodzicielskiego i zwinęło chłopa. Siedział przez cztery miesiące...
- Maryśka! co za bzdury opowiadasz? Powtarzasz rozpuszczane przez reakcję plotki. Dawaj rower, pojadę do miasta. Jutro odeślę ci wehikuł - powiedział stanowczo. Chwycił za kierownicę i popedałował przed siebie. Szybko pokonał kilkanaście kilometrów do miasta i znalazł się w swojej służbowej kawalerce. Rano nakazał szoferowi odwieźć samochodem rower do rodzinnego domu.

Na odprawie partyjnej wygłosił płomienne przemówienie o reakcji panującej na wsi, o klerze, który ma przemożny wpływ na mieszkańców, tych prostych, tych półanalfabetów i zaczął przytaczać przykłady o zacofaniu społeczeństwa niezdolnego do budowy socjalizmu. Dlatego zaproponował wzmożenie czujności nad działalnością proboszczów, obserwację kułaków i nasilenie propagandy nie tylko w mieście, ale przede wszystkim na wsi; aresz-

towanie wiejskich prowodyrów i skłonienie ich do podpisania pism o lojalności.

Zgłoszone przez towarzysza Franciszka postulaty zostały przyjęte jednogłośnie, jednak ich realizacja pozostała na papierze.

Po śmierci Stalina życie polityczne znacznie złagodniało. Mówiło się jak dawniej, lecz często kończyło się na mówieniu.

***

1 maja 1953 r. przebiegał uroczyście, jak w poprzednich latach, z tym że dominowały portrety Berii obok portretów Stalina i innych dostojników radzieckich i polskich. W teren wysłanych zostało kilka willisów pod kierownictwem mundurowych, dla sprawdzenia czy rolnicy świętują Międzynarodowy Dzień Klasy Robotniczej. Był piątek. Wysłani w teren towarzysze mieli aresztować tylko pracujących kułaków, na małorolnych przymknąć oczy. Zwieziono do aresztu dziesięciu kułaków z naszego powiatu, których spotkano przy pracy w polu. Pamiętam ich nazwiska. Byli to: Kanigowski, Grabowski, Milewski, Raus, Niszczota, Załuski, Bieraga. Przywieziono też mojego wuja. Poznałem go i kazałem zwolnić, ale tak, aby o mnie nie wiedział. Następnego dnia odbyły się przesłuchania. Dochodzeniowy brał papier, spisywał dane personalne, ile kto ma hektarów, ile ojciec przesłuchiwanego, ile dziadek i pradziadek. Czy ma krewnych za granicą i gdzie, kim są, jakie funkcje pełnią. A potem, czy wie, co to jest święto 1 Maja i czy wie, że w tym dniu trzeba świętować bardziej niż w innych dniach roku? I dlaczego nie wyszedł ze sprzętem rolniczym na drogi, przez które maszerował pochód? Po takim przesłuchaniu dochodzeniowy nawymyślał aresztowanemu, że jest wrogiem klasy robotniczej, sprzeciwia się budowie socjalizmu, a to kwalifikuje się do kategorii przestępstw podlegających karze więzienia. Kułak był zmiękczony, podpisywał pismo o przestrzeganiu zasad moralności socjalistycznej, którego zwykle nie czytał, zadowolony ze zwolnienia nisko się kłaniał i odchodził.

W drugiej połowie maja zmarł dziadek. Na pogrzeb nie pojechałem. Bo i po co? Ludzie by na mnie patrzyli, jak się zachowuję,

czy aktywnie uczestniczę w ceremonii pogrzebowej. Poszedłem do pierwszego sekretarza z pytaniem, czy mam jechać na pogrzeb dziadka. Sekretarz odpowiedział mi wyraźnie:
- Mam do was, towarzyszu, zaufanie, jesteście komunistą, zerwaliście z idealistycznymi praktykami. I tam pojedziecie? Zastanówcie się, jak będziecie się czuć? Wyślijcie kondolencyjny telegram i to wszystko. - Tak też uczyniłem.

W czerwcu poinformowano nas poufnie, że w Berlinie Wschodnim wybuchł strajk, a potem objął całe wschodnie Niemcy. Zobowiązano nas do tłumienia wszelkich wieści na ten temat. Na spotkaniach mieliśmy mówić, że to NRF podjudziła byłych nacjonalistów, a lud pracujący miast i wsi odrzucił zdecydowanie te wybryki i potępił prowodyrów. Zagłuszanie „Wolnej Europy" stało się tak intensywne, że odbieranie audycji było niemożliwe. Nasiliła się też walka z Kościołem. Uważano, że jest on przyczyną wszelkiego zła i niepowodzeń Polski Ludowej. We wrześniu biskup Czesław Kaczmarek został osądzony na 12 lat więzienia za „szpiegostwo" i kontakty z podziemiem. Pod koniec września 1953 r. aresztowano prymasa Stefana Wyszyńskiego. We wszystkich środowiskach robotniczych, w zakładach pracy, w szkołach, na zebraniach sołeckich prowadzono akcję wyjaśniającą, dlaczego tego „jątrzyciela" narodu aresztowano. Przybywało spraw międzynarodowych: Afryka, Ameryka, Korea, Wietnam. W październiku 1954 r. uciekł pułkownik Światło. W marcu 1956 r. zmarł Bierut i znowu przez kraj przeszła „nieutulona" żałoba.

A potem na zebraniach poufnych odczytano referat Chruszczowa o stalinowskim terrorze, który zaszokował wielu towarzyszy. Ręce opadały.

I znowu, jak mówiono, pod wpływem agentów wywiadu anglo-amerykańskiego robotnicy w Poznaniu 28 czerwca 1956 r., w czwartek, rozpoczęli strajk. Padły strzały, polała się krew. Na Węgrzech wybuchło powstanie, a niedługo potem polski Październik zapoczątkował przewrót. Gomułkę wypuszczono z więzienia, objął władzę. Mógłbym długo na ten temat mówić, ale do mnie nic nie docierało.

Pamiętam, wtedy wielu członków oddawało legitymacje partyjne. Lecz ja byłem zacietrzewiony, dopatrywałem się wszędzie wroga i działalności obcych agentur. W dalszym ciągu, jako szef propagandy, zakładałem klubokawiarnie, dbałem o to, aby linia partii nie była naruszona. Byłem wyróżniany i nagradzany. Życie moje wyznaczały plenarne posiedzenia partii, poza tym starałem się nic nie widzieć.

Gomułka odszedł, nastał Gierek. Nastąpiła reorganizacja kraju. Moja ranga znacznie się obniżyła. Byłem jednym z wielu pracowników propagandy. Wszystkie stanowiska kierownicze objęli ludzie młodzi z wyższym wykształceniem partyjnym. Do mnie, utrwalacza władzy ludowej, zwracano się: towarzyszu zróbcie, towarzyszu pójdziecie, towarzyszu załatwcie. Czułem się popychadłem.

Przyszła „Solidarność". Burzyły się wszystkie zakłady pracy. W tym czasie mój syn, po zdaniu matury, nie chciał się dalej uczyć. Załatwiłem mu robotę na stanowisku referenta w jednej firmie. W tym zakładzie stanął na czele komitetu strajkowego. Stał się trybunem, na zebraniach krzyczał, dowodził, zyskał sobie uznanie wśród robotników. Tłumaczyłem mu: - W co ty się pakujesz? Odpowiedział mi, że nic nie rozumiem i jestem bolszewikiem, który wspierał zbrodniczy ustrój, a Stalin wymordował 50 milionów własnych obywateli, że nie było w historii ludzkości ustroju tak niszczącego swój naród. A ojciec nic nie wie, bo czytał tylko dzieła Lenina i swojego boga, towarzysza generalissimusa, pogromcy faszyzmu, Stalina, tego twojego wodza - przedrzeźniał mnie. Dalej nie mogę sobie tych obrzydliwych określeń przypomnieć.

13 grudnia 1981 r., kiedy wprowadzono stan wojenny, syna zwinęli i siedział w Iławie przez pół roku. W komitecie nikt mi nic nie mówił, ale czułem na sobie nieprzychylny wzrok. Żonie, kierowniczce dużego sklepu, zarzucono nieudolność i przesunięto na niższe stanowisko. Rozchorowała się i poszła na rentę. W 1984 czy 1985 r. zostałem wezwany przed oblicze pierwszego sekretarza. Chwalił moją pracę, moje zasługi i zaangażowanie. W końcu po-

wiedział, że trzeba przyjąć dziesięć osób do pracy po ukończonej szkole partyjnej, a mnie zaproponował przejście na przedwczesną emeryturę. Mało nie płakałem z goryczy.

Rentę miałem jak na owe czasy wysoką, bo sześć tysięcy złotych. Siedziałem teraz z żoną i ciągle się sprzeczałem o byle co. Syn wyjechał po zwolnieniu go z aresztu do Gdańska, potem był na Śląsku. Nie daje o sobie znaku życia.

Mój ojciec zmarł w latach siedemdziesiątych. Nie byłem na uroczystościach pogrzebowych. Nie chciałem być przedmiotem zainteresowania otoczenia i nie mogłem, jako komunista, spotkać się oko w oko z księdzem. Mam wyrobiony w sobie odruch, że na widok duchownego coś mnie odrzuca.

Pewnego dnia żona do mnie rzekła:

- Wiesz, my ślubu nie mamy, tylko żyjemy na cywilniak. A może by teraz choć na stare lata wziąć ślub kościelny i pojednać się z Bogiem; iść do spowiedzi...

- Co ty wygadujesz, głupia babo? - wrzasnąłem.

- Wydaje się, że błądziliśmy w życiu, a teraz wszystko trzeba naprawić.

- A jak ty sobie to wyobrażasz? Myślisz, że ksiądz da ci rozgrzeszenie! Przecież popełniłaś tyle morderstw na własnych dzieciach.

- Ty mnie obwiniasz? Sam tego chciałeś. Przypomnij, jak ciągle mówiłeś o świadomym macierzyństwie, że jedno dziecko wystarczy, jakby dzieci polskie miały obeżreć świat. Tak wam do tych łbów nakładli - mówiła poirytowana żona.

- Teraz - dowodziła dalej połowica - gdy wczytuję się w historię, dochodzę do wniosku, że dotychczasowe kłamstwa nie miały sobie równych w całej historii ludzkości.

- Jesteś głupia!- wykrzyknąłem. - Nic nie rozumiesz! Daj mi święty spokój i nawracaj się, tylko nie praw mi niedorzecznych morałów.

Tak życie biegło miesiącami i latami. Przez ostatnie 15 lat było nijakie, szło obok mnie. Stałem się zgnuśniały, samotny. Rozpadły się wszystkie towarzyskie kontakty. Łączność z rodziną nie istnieje. Nicość, pustka. W mieszkaniach cicho. Ani znajomego,

ani rodziny, ani wnuka. Samotność. Nienawidzę siebie, czekam na coś, lecz nie wiem na co. Może zdarzy się jakiś cud? Ale mija czas i potęguje się przygnębiająca cisza. Z żoną prawie nie rozmawiam, bo i o czym? Nie interesuje mnie błękit nieba i wiosenna odwilż za oknem. Są mi obojętne cieniutkie zielone pędy roślin, chór ptaków szczebioczących w promieniach słońca. Nie obchodzi mnie trąbiący samochód, hałasujące dzieci na ulicy. Nikt mnie nie woła. W sercu mym, jak i dokoła, panuje cisza. Co mi pozostało po przeżytych latach? Niczego nie dokonałem w życiu. Zamiast służyć człowiekowi, podporządkowałem się fałszywej ideologii. To szczęśliwe jutro, które miało nadejść, było utopią.

„My ZMP - reakcji nie boimy się" - takie było hasło, a teraz, gdy idę ulicą, otacza mnie wokół „reakcja", o której kiedyś często mówiłem.

Bycie człowiekiem - to odpowiedzialność, a na starość powinno się żyć spokojnie i radośnie. Nie chce mi się patrzeć w telewizor, dopatruję się we wszystkim wstecznictwa i imperialistycznych działań.

Wszystko zaczęło się od Heńka

Henryk Śliwiński

Niewielu wie, że Nasielsk słynie z kabaretów. Tu narodziły się Miniscenka, Kleszcz, Pyza, Nitoperz, Pięta i znana w całym kraju Pętla. - Duchem ich jest Heniek - mówią o Henryku Śliwińskim, poloniście, twórcy i społeczniku jego wychowankowie.

Nasielsk - niespełna siedmiotysięczna mieścina. Senna, rolnicza, bo większość państwowych zakładów już upadła. Do Nowego Dworu 14 kilometrów, do Pułtuska - 24, do Warszawy - ok. 50. Słynie z długiej, ponad 900-letniej historii, jednak bez szczęścia w tym długim bytowaniu. *„Idzie wolność drogą, przytupuje nogą/ Bo tak jej się podoba/Do nas pewnie wstąpi, jeśli ktoś nie zwątpi/Jeśli w coś nie wstąpi"* - śpiewali o swej osadzie, jeszcze za PRL, nasielscy kabareciarze.

Historycznie i kulturalnie Nasielsk jest raczej związany z Pułtuskiem. Jednak trzy lata temu głos jednego z radnych przeważył - miasteczko trafiło do powiatu w Nowym Dworze.

Henryk Śliwiński wita w szarej mieścinie promiennym uśmiechem. Rozgadany, trochę roztargniony, widać że z pasją.

Podobał mu się mundur

Oprowadza po wystawie militariów, upamiętniającej I i II wojnę światową. Zorganizował ją ze zbiorów prywatnych znanego kolekcjonera Edwarda Malinowskiego z Pułtuska.

- Dzięki niej te autentyczne pamiątki historii obejrzało w tydzień ponad 200 uczniów. Nawet przedszkolaki zobaczyły szable, prawdziwe hełmy i mundur z dziurami z czasów wojny - cieszy się.

Na wystawie w licealnej auli są m.in. dokumenty i pamiątki po Stefanie Jaworskim. Czołowym skrzypku 13. Pułku Piechoty, autorze jego hymnu, dyrygencie pułkowej orkiestry. Po odbyciu służby Jaworski osiedlił się w Nasielsku i prowadził zespoły artystyczne. - Czuję się tu jego kontynuatorem - przyznaje Henryk Śliwiński.

Pochodzi z Torunia. Na Mazowsze, zaraz po podstawówce, przyjechał, aby kształcić się w Korpusie Kadetów im. gen. K. Świerczewskiego w Warszawie. - Podobał mi się wtedy mundur - wspomina chłopięce lata. Była to ta sama szkoła, gdzie się uczył Jan Pietrzak. - Kiedy ja byłem w pierwszej klasie, on był w trzeciej. Znaliśmy się, ale tylko z widzenia - Śliwiński pamięta, że już wtedy Pietrzak nosił gitarę. Pomimo stalinizmu zaczynał tworzyć kabaret. Może jemu, młodszemu kadetowi, właśnie dlatego udzieliły się zamiłowania kabaretowe?

Po wydarzeniach 1956 r. Korpus Kadetów rozwiązano. Pietrzak zdążył go jednak skończyć. Śliwiński został już absolwentem liceum ogólnokształcącego, które powstało na bazie korpusu. - Pietrzak później ukończył jeszcze szkołę oficerską. I dopiero po latach się z wojska wyplątał. Bo nie było dla niego - opowiada Śliwiński.

Bliżej poznali się dopiero spotykając na ogólnopolskich przeglądach kabaretowych.

Przeciw pozerstwu i głupocie

Najpierw Śliwiński zdobywał szlify w polonistyce. Początkowo w Studium Nauczycielskim w Ciechanowie, potem na Uniwersytecie Warszawskim. Języka polskiego zaczął nauczać w Zespole Szkół Rolniczych w Golądkowie pod Pułtuskiem, a później w Liceum Ogólnokształcącym w Nasielsku. Przez czternaście lat (1974-88) był dyrektorem tej szkoły, nadał jej imię J. Iwaszkiewicza. Do dziś uczy w niej języka polskiego (na pół etatu), choć przebywa już na emeryturze.
- Już w Golądkowie zaczynałem robić teatry amatorskie, w oparciu o teksty znanych pisarzy - wspomina 62-letni polonista. - Potem ten zwyczaj przeniosłem do Nasielska. Powoli doszedłem jednak do wniosku, że najwięcej satysfakcji daje realizacja własnych pomysłów i tekstów. Czyli kabaret.

Teksty do kabaretów wymyślali wspólnie, z uczniami, choć pod jego pieczą. Sami je też interpretowali. - W naszych kabaretach było dużo inwencji, a mniej dekoracji i scenografii - pamięta. - Nie chodziło tylko o pusty śmiech. Kabaret to przede wszystkim satyra, walka z głupotą i pozerstwem.

Nie było sztywnego dyrektora

Mówi, że nie jest muzykalny. Pisze tylko teksty, potrafi skrzyknąć ludzi czujących kulturę, ma do nich nosa. - Umiał wychwytywać w szkole talenty. Był dobrym organizatorem, autorem scenariuszy - przyznaje Sławomir Umiński, poeta, satyryk, czasem kompozytor. W kabaretach pana Henryka grał już jako uczeń.

Śliwińskiemu niełatwo jednak było pełnić funkcję dyrektora LO i jednocześnie prowadzić kabaret. Nauczyciele zarzucali mu, że młodzież ciągle wchodzi do jego gabinetu, że nie ma dystansu do dyrektora. Czasami drażniły ich satyryczne teksty. - A dla mnie kabaret szkolny był odskocznią od sztywnego urzędowania. Bawiliśmy innych, uczyliśmy krytycznego myślenia - śmieje się polonista. I poważnieje: - Kabaret rozwija młodzież. Uczy samodzielności, rozwija zdolności twórcze i wykonawcze.

Sławomir Umiński: - W szkole nie było reżimu. Ani sztywnego dyrektora. Nogi nie drżały jak się wchodziło do jego gabinetu. On z nami rozmawiał, wciągał w kabaret, współpracował. Jak kolega. Jako nauczyciel był bardzo wymagający. Miał olimpijczyków, otrzymywał nagrody od ministra edukacji.

- Był przyjacielem młodzieży. Otaczał ją opieką, poświęcał jej czas - wspomina Wojtek Gęsicki, bard z Ciechanowa. Przez zacięcia kabaretowe oblał on maturę w ciechanowskim „Krasiniaku". I egzamin dojrzałości zdał dopiero w LO w Nasielsku. - Pan Henryk, ku mojemu zaskoczeniu, zaaprobował moje twórcze inicjatywy - kontynuuje Wojtek. - Może dlatego iskierki we mnie nie zgasły i zaowocowały potem kabaretem Trema, a ostatnio Ciechanowską Sceną Kabaretową.

Kabaret „Klapa"

Kabaret to męska sprawa

Powstała „nasielska szkoła kabaretowa". Zaczęło się w 1974 r. od grupy „Miniscenka". Trzy lata później ten szkolny kabaret przywiózł z festiwalu kultury w Kielcach Brązową Jodłę. Dwukrotnie wygrał też Harcerską Wiosnę Kulturalną w Ciechanowie. Śliwiński pamięta najlepsze programy „Miniscenki": „Nam nie jest wszystko jedno" i „Do serca przytul psa". - Był to bardzo wyrównany kabaret - mówi szybko, dużo, gestykulując. - Jeden z jego liderów Darek Zawadzki współpracował potem z Janem Pietrzakiem, założył orkiestrę „Ata", z którą występował w Opolu. A Mariola Niewęgłowska od tamtej pory śpiewa zawodowo.

Następnym kabaretem działającym przy nasielskim LO był „Kleszcz". Najszczęśliwszy jego rok to 1980: z Kielc przywiózł wyróżnienie i wygrał Harcerską Wiosnę Kulturalną w Ciechanowie. Śpiewał m.in.: *„Popuszczam wodze fantazji/i myślę co by się stało/gdybym zupełnie niechcący,/wskrzesił tu rządy Mao!"*.

Kolejny prowadzony przez Henryka Śliwińskiego szkolny kabaret to „Pyza" (1983-87). Też uhonorowany Brązową Jodłą w Kielcach

i dwukrotnie na przeglądach w Ciechanowie. Śliwiński pamięta fragmenty swego tekstu do „Piosenki o sloganie": *„Nic że mamy komputery/ Kosmos śmiało zdobywamy/ Ale to nam nie przeszkadza/ Że my bajek wciąż słuchamy/ I wesoło, i wesoło/ Niech się bajda toczy wkoło./Za sloganem slogan leci/My bawimy się jak dzieci"*.

O kabaretach Śliwiński może mówić bez końca. O tekstach, autorach, wyjazdach. Byli najlepsi w województwie i jedni z najlepszych w kraju. - W kabarecie najważniejsi są ludzie. A właściwie mężczyźni, bo kabaret to męska sprawa. Ważniejsze są teksty, nie muzyka - podkreśla, że muzyka jest tylko tłem, służy wydobyciu tekstu.

Ale dziewczyny też muszą być. Ładne, śpiewające, jak np. niedawna absolwentka nasielskiego liceum Monika Głębowicz. Zaczynała z nimi, dziś w Warszawie nagrywa płytę z profesjonalnym zespołem.

Cenzorzy byli różni

Kiedy w 1983 r. Sławomir Umiński został dyrektorem nasielskiego domu kultury, w miasteczku obok kabaretów szkolnych pojawiły się także kabarety dla dorosłych. Zasilały je głównie osoby, które ostrogi kabaretowe zdobywały w LO. Powstawały kolejno grupy: „Nitoperz" (1978-79), „Pięta" (1980-83), „Pętla" (1984-88). Też odnosiły sukcesy ogólnopolskie, a szczególnie „Pętla".
- Na największej imprezie kabaretowej w Polsce, tj. Ogólnopolskich Konfrontacjach Kabaretowych w Zakopanem w 1984 r. „Pętla" zdobyła drugą nagrodę za „Mrowisko", a trzy lata później Grand Prix na Ospie w Ostrołęce - wspomina Śliwiński.

Sławomir Umiński pamięta jeszcze fragmenty „Mrowiska", które wyszło spod jego pióra. Cytuje: *„W naszym mrowisku był Włodek mały, jest bardzo blisko czego jak czego, mrowiska dużego, tych mrówek nie białych"*... Dodają: czyli czerwonych. - W PRL-u wszyscy celnie odbierali nasze teksty. Rozumieli aluzje. Wtedy się znakomicie robiło kabarety. Pomimo że wszystko było ocenzurowane. Ale często cenzor pomagał przemycać teksty, czyli „robić gryps". Pytał na przykład: po co mówić Ruskie? Nie lepiej Turcja? I rzeczywiście ludzie rozumieli, a nawet podwójnie się śmieli - chichoczą dziś razem.

Jedną z gwiazd „Pętli" był Krzysztof Turek, też z Nasielska. Satyryk, laureat wielu konkursów kabaretowych, dziś nauczyciel ekonomii. - Byłem w „Pętli" od 1984 r. przez pięć lat - opowiada Turek. - To najpiękniejszy czas w moim życiu. Jeździliśmy na najważniejsze festiwale kabaretowe, występowaliśmy w „Piwnicy pod Baranami", poza granicami, m.in. w Anglii. Byliśmy w krajowej czołówce.

Turek wspomina: - Nie wszyscy cenzorzy tacy byli! Znamy różnych! „Pętla" miała kłopoty z cenzurą. Kiedyś w Krakowie musieliśmy grać na imprezach zamkniętych.

Dobre wrażenia jednak bardziej im się utrwaliły.Sławomir Umiński: - Miło było, kiedy mówiono, że z takiej małej pipidówki, a moglibyśmy z powodzeniem prezentować swe programy na okrągło w Warszawie. To nas dowartościowywało. Były czasy, kiedy w Nasielsku działały trzy kabarety!

Krzysztof Turek: - Wszystko zaczęło się od Heńka. On nigdy nie oglądał się za gratyfikacją. Bezinteresownie poświęcał swój czas, energię i pieniądze. Dla młodzieży i miasta.

Kilka pokoleń kabaretów

Dziś byli nasielscy kabareciarze wciąż się spotykają, choć na scenie grają już rzadko. Dzięki współpracy z Wojtkiem Gęsickim goszczą jednak czasem na deskach ciechanowskiej „Tremy". - Kabaret to zjawisko efemeryczne. Kabarety pojawiają się i giną - uśmiecha się pan Henryk.

Od czasu do czasu robią jeszcze programy z kabaretem „Klapa". Gdzie? W Nasielskim Towarzystwie Kultury, które pięć lat temu powstało znowu z inicjatywy Henryka Śliwińskiego. - To taki człowiek, który sam nie posiedzi i innym nie da spokoju - mówi się o nim w miasteczku.

Trzonem Nasielskiego Towarzystwa Kultury (NTK) są członkowie byłych kabaretów oraz ich miłośnicy. Większość z nich to dziś też nauczyciele. Kiedy w grudniu 1997 r. zorganizowano w Jarosławiu I Spotkanie Kabaretów Nauczycielskich, pojechali jako „Klapa". Zaśpiewali m.in.: *„Takie mnie dręczą wciąż pyta-*

nia /i nie mam na nie odpowiedzi/ czy nauczyciel to kawał drania/ czy z aureolą święty siedzi. Czy nauczanie to jest praca /zwykłe rzemiosło taka fucha/ czy może misja powołanie /natchnienie od jakiegoś ducha (...)".

„Głos Nauczycielski" napisał o nich: „Klapę wyróżnia nie tylko literackość, ale zespół składający się z absolwentów LO im. J. Iwaszkiewicza. Bliżej im do „Zielonej Gęsi" niż do Smolenia czy Drozdy".

W Nasielskim Towarzystwie Kultury

NTK liczy już prawie ok. 40 osób, w tym wielu młodych. Wśród członków są ludzie kultury, miejscowi przedsiębiorcy, uczniowie. Wojtek Gęsicki z Ciechanowa i kabaretowy muzyk z Pułtuska Jacek Gerek są członkami honorowymi. Anna Siwiec, dyrektor Miejsko-Gminnej Biblioteki w Nasielsku: - NTK jest bardzo potrzebne. Ożywia środowisko, pomaga placówkom kultury. Organizujemy razem wiele imprez.

NTK zatacza coraz szersze kręgi. Poza spotkaniami klubowymi z ciekawymi ludźmi pokazuje interesujących ludzi z własnego środowiska, inicjuje kulturalne imprezy, wydało poetycki tomik miejscowej poetki Jadwigi Lesiowskiej-Michalak, drukuje wkładkę do miejscowego pisma „Życie Nasielska". - Jesteśmy jak drożdże - żartują, pokazując liczne zdjęcia z imprez. W ostatnich wyborach NTK wystawiło nawet swego kandydata do rady miasta i gminy. Regina Olszewska wygrała, jest nawet w zarządzie. - Mamy więc we władzach swojego człowieka - cieszą się.

Może dzięki temu miasto przydzieliło im lokal. Mieści się on w tym samym zabytkowym budynku co biblioteka, ma jednak osobne wejście. Ciepły, przytulny, już urządzony. - Krzesła są pożyczone, stolik sprezentowany - wskazują na sprzęty. - Miasto wspiera nas finansowo w wielu społecznych inicjatywach. Podobnie lokalni przedsiębiorcy, rodacy z Nasielska.

Przekonał rodzinę

Żona Henryka Śliwińskiego jest księgową. - Jakoś toleruje te moje słabości - pan Henryk zamyśla się. - Czasem się włącza. Podobnie córka, choć mieszka w Warszawie.

Nawet syn, inżynier mieszkający na Florydzie, jest członkiem nasielskiego towarzystwa. Dla LO im. J. Iwaszkiewicza, które też ukończył, podarował niedawno komputery. - Przyjeżdża w maju - cieszy się pan Henryk, który był niedawno na Wyspach Dziewiczych, gdzie syn się ożenił. - Chcemy zorganizować z nim spotkanie jako z żeglarzem.

I dodaje: - A z kabaretami jeszcze nie spasowaliśmy. Wrócimy do nich. Chociaż czas jest inny. Nie ma co przemycać.

Cesarz sprzyja jedności

Napoleon zniósł feudalizm, średniowieczne przywileje i odrębności, wprowadzając wszędzie nowoczesną administrację oraz ustrój oparty na równości. Dla Polaków, choć nie zrobił wszystkiego, był budzicielem energii i dążeń niepodległościowych. Wydobył też sprawę Polski z nicości na szerszą widownię europejską.

Takie słowa padały na uroczystościach napoleońskich, które zorganizowała Wyższa Szkoła Humanistyczna w Pułtusku wspólnie z Fundacją Napoleońską w Paryżu. Odbyły się one od 22 do 25 września br., w rocznicę powołania Ośrodka Studiów Epoki Napoleońskiej WSH. Uczestnikami byli najwybitniejsi uczeni zajmujący się epoką napoleońską z kilku krajów: Polski, Francji, Włoch, Wielkiej Brytanii, Rosji, Litwy i Białorusi. Z Francji przybyła też księżna Napoleon oraz potomek cesarza i Marii Walewskiej - Florian Walewski.

Najpierw na zamku krzyżackim w Ostródzie odbyła się naukowa sesja „Epoka napoleońska: dawne terytoria, nowe obszary badań, nowe doświadczenia". Od 21 lutego do 1 kwietnia 1807 r. gościł tu Napoleon Bonaparte, zarządzając z 1,5-tysięcznej Ostródy całym cesarstwem. Jak zawsze dużo pracował, po 16 godzin na dobę. W Ostródzie wydał 650 rozkazów i napisał 38 listów do Józefiny. Organizatorzy sesji: WSH i Fundacja Napoleońska z Paryża upamiętnili 22 września br. jego pobyt na zamku marmurową czarną tablicą.

Choć w gotyckiej sali zrekonstruowanego ze zniszczeń wojennych zamku panował przenikliwy chłód, to naukowcy i znawcy epoki napoleońskiej dyskutowali długo i namiętnie. Idzie już fala rocznic związana z 200-leciem bytności Napoleona na ziemiach polskich, stąd rosnące zainteresowanie, obszary badań i coraz

większa liczba wydanych na temat epoki napoleońskiej książek.

- W zakresie działań Napoleona na ziemiach polskich mamy jeszcze dużo do zrobienia - przekonywał w Ostródzie dr Andrzej Nieuważny z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wykładający też we Francji, m.in. na Sorbonie, i kierujący pracownią naukową Ośrodka Studiów Napoleońskich WSH w Pułtusku. - Większość Polaków wie, że Bonaparte jest uwieczniony w hymnie narodowym Polski i legendach. Nie docenia jednak wagi epoki napoleońskiej w aspekcie budowania prawa i nowoczesnego społeczeństwa. Choć Kodeks Napoleona przetrwał w niektórych dziedzinach aż do 1945 r., a sam cesarz był najwybitniejszym człowiekiem XIX wieku.

Podkreślano, że Napoleon przywrócił Polakom nadzieję na powrót państwa. Aby odzyskać niepodległość, elity polskie imały się różnych sposobów i koncepcji, poszerzając często granice kompromisu. Dr Jarosław Czubaty z Uniwersytetu Warszawskiego nazwał to „zasadą dwóch sumień", „grą na dwóch fortepianach". - Funkcjonowanie w polityce standardów etycznych, kwestii zdrady, wierności, czy innych trudnych wyborów jest czasem trudno zrozumieć. Często wizję zdrajców i patriotów się upraszcza - mówił dr Czubaty.

Z kolei Stuart Woolf, angielski uczony, ale z Uniwersytetu we Florencji przypomniał, że Napoleon we wszystkich podbitych państwach rozbudzał patriotyzm i poczucie narodowe. - Naród buduje się łatwiej w obliczu zagrożenia - uświadamiał profesor. I tak Włochy zawdzięczają Napoleonowi pierwsze częściowe zjednoczenie oraz rozwój sił narodowych. Hiszpanie i Niemcy w zmaganiach z nim odnaleźli istotę swej odrębności. Nacjonalizm rozbudził się nawet w masach ludu rosyjskiego. Dla Francji natomiast Napoleon stał się uosobieniem najwyższej chwały i potęgi ojczyzny.

Bonaparte odegrał też doniosłą rolę w dziejach Polski. Kiedy po trzecim rozbiorze wydawało się, że państwo polskie zniknęło z karty Europy i na zagładę skazany jest naród, patrioci znad Wisły rozpoczęli akcję wywalczenia niepodległości w oparciu o Francję. Pod patronatem Napoleona powstały na ziemi włoskiej

legiony polskie; ich bohaterskie walki przypomniały światu o istnieniu Polski, stając się dla Polaków szkołą odrodzenia patriotyzmu i cnót żołnierskich. W 1806 r., kiedy Napoleon rozgromił Prusy i wkroczył na ziemie dawnej Rzeczypospolitej, poruszył tym samym sprawę Polski i dał Polakom możność stworzenia wojska oraz zorganizowania władz cywilnych. Dzięki temu 22 lipca 1807 r. powstało Księstwo Warszawskie. Napoleon nadał mu konstytucję wzorowaną na konstytucji francuskiej, gwarantującą wszystkim równość wobec prawa i znoszącą niewolę. - Rozpoczęła się budowa państwowości polskiej - mówił dr Jacek Arkadiusz Goclon z Uniwersytetu Wrocławskiego. - Powstało sądownictwo, wojsko na czele z ministrem wojny księciem Józefem Poniatowskim i edukacja (w latach 1807-1812 utworzono ok. 500 nowych szkół elementarnych).

Z pewnością szczupłe (108 km kw., 4 mln ludzi) i krótko istniejące (do 1815 r.) Księstwo Warszawskie nie spełniło pokładanych w Napoleonie nadziei Polaków. Było jednak ważnym etapem w dziejach narodu. Napoleon pchnął Polskę na drogę nowożytnego rozwoju społeczno-państwowego i rozbudził ducha niepodległości. Cały późniejszy łańcuch walk o wolny kraj w epoce porozbiorowej tkwi korzeniami w epoce napoleońskiej. Dr Goclon przypomniał jednak, że Bonaparte zawiódł też Polaków. Traktował ziemie polskie jako bazę wojskową i żywnościową, zarzucał Polakom anarchię, barbarzyństwo i zaborczość. Niejednokrotnie wyrażał się też o możliwości likwidacji Księstwa Warszawskiego, co spowodowało odwracanie się od Napoleona w stronę cara.

Podczas konferencji wypowiadali się w ostródzkim zamku także Rosjanie, Białorusini i Litwini. Wśród ok. 40 gości byli bowiem dyrektorzy muzeów z Moskwy, Borodino, Bagrationowska i Berezyny, uczeni z uniwersytetów w Kaliningradzie, Mińsku i w Kaunas na Litwie. Przeważnie bardziej podkreślali oni zwycięstwa niż klęski bitew napoleońskich na terenie ich krajów. Dlatego z rozsądnym wykładem wystąpił francuski prof. Alain Pigeard z Uniwersytetu w Dijon, nawołując do waloryzacji pól

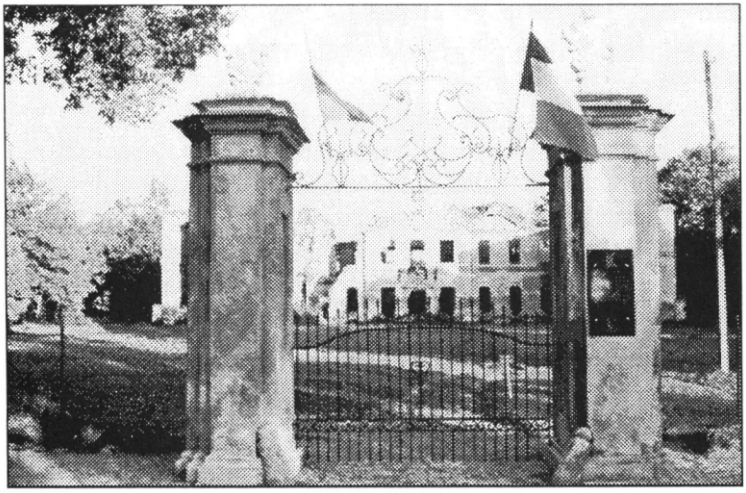

Kamieniec k. Susza, pow. Ostróda. Pamiątkowa tablica u bram dawnego pałacu Zu Dohna, gdzie przebywał Napoleon.

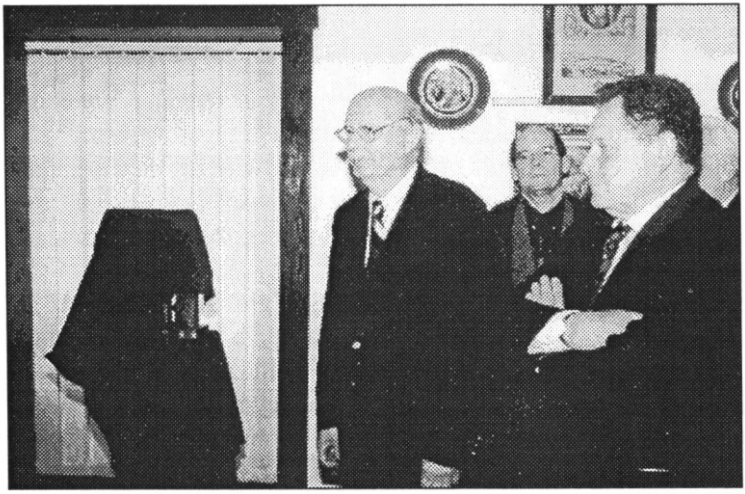

W Ośrodku Studiów Epoki Napoleońskiej w Pułtusku, 25 września 2001 r. Od lewej prorektor dr Krzysztof Ostrowski, z prawej Florian Walewski.

bitewnych. - Są to miejsca dziedzictwa historycznego i należy o nie zadbać. Narody, które nie cenią własnej historii, nie mają przyszłości - przypomniał Pigeard, obiecując pomoc dla WSH w przygotowaniu turystycznego szlaku napoleońskiego.

- Powołany przed rokiem Ośrodek Studiów Epoki Napoleońskiej planuje uruchomić szlak napoleoński od Pułtuska do Tylży - powiedział dr Krzysztof Ostrowski, prorektor WSH, dyrektor Ośrodka Studiów Epoki Napoleońskiej. - Interesują nas nie tylko miejsca bitew, ale cała droga, którą przeszedł Bonaparte. Granice nie są dziś przeszkodą, współpracujemy już z samorządami kilku krajów.

Głowa rodu, księżna Napoleon z Paryża była usatysfakcjonowana nowym etapem współpracy z wolną Polską i jej sąsiadami, atmosferą przyjaźni i dialogu. - Choć na tych ziemiach spłynęło wiele krwi, odbudowanie zabytków i pamięci tej wspólnej dla wielu narodów historii jest dowodem siły państw - mówiła księżna.

Wtórował jej baron Gourgaud, prezydent Fundacji Napoleona w Paryżu: - Jestem wzruszony, że mogę być na ziemiach, gdzie gościł i rządził cesarz Francji. Mój pradziadek otrzymał medal za bitwę pod Pułtuskiem - wyznał.

W atmosferze pojednania uczestnicy konferencji wyjechali w niedzielę, 23 września, po południu na przygotowywany szlak kampanii 1807 r. W ciągu dwóch dni odwiedzili najważniejsze miejsca bitew napoleońskich i zakwaterowań Napoleona na terenie północno-zachodniej Warmii, północnego Mazowsza oraz obwodu kaliningradzkiego.

W Kamieńcu (dawnym Finkensztajn), gm. Susz w ostródzkim powiecie powitała nasz autokar cała wieś. Muzyką, kwiatami i piknikiem z pieczonymi baranami kamienieckiej rasy. Duch Napoleona jest tu wciąż żywy. W stojącym do dziś w centrum Kamieńca zrujnowanym pałacu Zu Dohna cesarz przebywał ponad dwa miesiące (1.04.1807-6.06.1807). Tu przyjmował delegacje zagraniczne, m.in. szacha z Persji, przez trzy tygodnie gościł też Marię Walewską. - Zajął w pałacu 110 pokoi, bo wszystkich było 365 - opowiadają mieszkańcy Kamieńca. - Pałac był

z końca XVIII w., jedyny ogrzewany w okolicy, otoczony kilkunastohektarowym parkiem.

Zachowana ruina do dziś robi wrażenie. Zapewne gdyby Sowieci nie podpalili pałacu w 1945 r., a potem okoliczna ludność go nie rozgrabiła, miałby się wciąż świetnie. Wysokie, dwukondygnacyjne mury z czerwonej cegły są bowiem potężne i zdrowe. Na frontonie boćki uwiły sobie gniazdo. - Pałac jest wyceniony na 90 mln dolarów - informuje Adam Obalewski, prezes warszawskiej spółki Gero, obecny jego właściciel. Nabył pałac dwa lata temu wraz z 800 ha ziemi od AWRSP (po wojnie był tu zakład POZH). - Pragniemy go wyremontować, ale szukamy inwestorów - mówi.

Nowy właściciel uporządkował już nieco park wokół pałacu. Zachowało się w nim wiele rzadkich gatunków drzew i krzewów, jest też mogiła owczarka niemieckiego Pilota, psa Hitlera, który też bywał w tym pałacu. Niestety, nie ma śladu po pięknych stawach, mostkach, ani po położonej na wzgórzu altanie "Belweder". Pamiętają ją tylko wiekowe lipy rosnące w kręgu, niegdyś otaczające altanę, skąd roztaczał się niezapomniany widok na sąsiadujące z parkiem jezioro Gałdy. - Lipy są na pewno pruskie i mają więcej niż 120 lat - zapewnia kamieniecki leśniczy Sławomir Lewczuk. - Jezioro Gałdy ciągnie się aż do Jerzwałdu, gdzie mieszkał pisarz Zbigniew Nienacki. Dziś jest to rezerwat ścisły ptactwa wodnego. Występuje tu orzeł bielik, są bąki, setki łabędzi, kaczek wszelakich, a Gałdy słyną ze zlotów gęsi.

Na bramie wjazdowej do pałacu wzruszona księżna Napoleon odsłoniła marmurową czarną tablicę.

Krętymi, wysadzanymi starymi drzewami drogami jedziemy do przejścia granicznego w Bezledach. Okolica piękna, roi się od jezior, wzgórz i pagórków ubarwionych pierwszymi kolorami jesieni. Tędy szła armia Napoleona. W Dobrym Mieście mijamy duży, z czerwonej cegły, dobrze zachowany kościół, gdzie cesarz kwaterował dziewięć dni. I Lidzbark Warmiński, gdzie rozegrała się duża bitwa.

Bezledy. Po stronie polskiej nowoczesne obiekty, czysto, sprawna obsługa. A po rosyjskiej - siermiężna sowiecka rzeczy-

wistość: dziurawe jezdnie i podjazdy, kałuże i błoto, brudne baraki, długie kolejki. Pomimo iż mamy w paszportach stemple AB, czekamy półtorej godziny. - Polska jest w NATO, jesteście teraz dla Rosji wrogami - śmieją się Francuzi.

W Iławie Pruskiej (pruskim Eylau), a dziś Bagrationowsku delegacja składa kwiaty na polu wielkiej bitwy. Rozegrała się ona 7-8 lutego 1807 r., podczas potężnej śnieżycy, z udziałem 60 tys. wojsk rosyjskich i 50 tys. francuskich. Nie było zwycięzców, ale zginęło 25 tys. Rosjan i 18 tys. Francuzów. W 50. rocznicę tych zmagań cesarz pruski ufundował w 1857 r. pomnik. Smukły, jasny, z dwiema armatami po bokach, okolony ogrodzeniem stoi do dziś. Tyle że pole bitewne zastąpił rozległy park. W dziewięciotysięcznym, socrealistycznym, biednym miasteczku jest wiele śladów po Napoleonie, m.in. kościół, gdzie się zatrzymał (dziś fabryczka) i tablica pamiątkowa na ścianie jego głównej kwatery. Zwiedzamy też muzeum miejskie, które poświęciło bitwie i cesarzowi jedną z sal.

We Frydlądzie, pruskim Frydlandzie, a dzisiejszym Prawdinsku armia Napoleona zdecydowanie pokonała Rosjan. Francuzi stracili 7 tysięcy żołnierzy, Rosjanie 25 tysięcy i poprosili o pokój (odbył się w Tylży na Niemnie, w dzisiejszej Białorusi). Przedstawiciele Fundacji Napoleona, WSH i władze miasta odsłonili na ścianie domu, gdzie mieszkał Napoleon, marmurową tablicę. - Te odsłaniane na trasie tablice nie tylko dokumentują historię, ale też integrują i bardziej identyfikują mieszkańców z daną miejscowością, z lokalną przeszłością - stwierdził dr Michał Baczkowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

W liczącej ok. 50 km drodze do Królewca obserwujemy rosyjską biedę. Zapuszczone zagrody bez ogródków, wąskie drogi z wszechobecnym błotem, leciwe studnie przy domach, ręczne piłowanie drewna. Dużo płaskich przypominających nieużytki łąk i pastwisk, z licznymi stadami bydła i baranów, które nieraz zagradzają nam niemal martwą jezdnię. Co rusz mijamy ruiny kościołów, zamków i pałaców z czerwonej cegły. - Tutaj nawet kaczki

są chude! - dziwiła się, wskazując na brudne przydomowe ptactwo Anna Henrykowska, dyrektorka muzeum w Pułtusku. I dodała: - Za dziesięć lat to tu się chyba wszystko zawali!

Nasze kłopoty na granicy sprawiły, że w Królewcu mamy czas tylko na zwiedzenie z zewnątrz katedry z grobem Kanta. Podróż do Fromborka (80 km), gdzie mamy nocleg, zajęła nam znowu ponad trzy godziny. Na przejściu w Mamonowie kolejki były jeszcze dłuższe i gdyby nie osobista interwencja u celników prorektora Krzysztofa Ostrowskiego spędzilibyśmy tam chyba kilka dni. Udało się nam jednak zachować dobry nastrój, gdyż w autobusie śpiewaliśmy pieśni po polsku, rosyjsku, białorusku i francusku. Do Fromborka dotarliśmy późną nocą, ale uczestniczyliśmy jeszcze w uroczystym otwarciu salonu Napoleona w Bałtyckim Ośrodku Badawczym WSH.

W ostatnim dniu, 25 września, uczestnicy eskapady gościli na północnym Mazowszu. Zobaczyli tereny bitwy w Gołyminie i w Pułtusku, Muzeum Romantyzmu w Opinogórze (jest tam sala napoleońska, ojciec Zygmunta Wincenty Krasiński był generałem Napoleona), Dom Polonii i siedzibę WSH w Pułtusku. - To była pasjonująca podróż - powiedziała księżna Napoleon, która po czterech dniach wyprawy nie czuła się zmęczona. - Jestem wzruszona bogactwem serc, umysłów i entuzjazmem dla epoki napoleońskiej różnych mieszkańców kontynentu. To ważne dla zrozumienia różnych narodów i jedności Europy.

Uroczystości zakończyły się w powołanym rok temu Ośrodku Studiów Epoki Napoleońskiej (OSEN) WSH w Pułtusku. Rektor WSH prof. Andrzej Bartnicki wręczył powołania członkom Rady Naukowej OSEN, m.in. profesorom: Henrykowi Samsonowiczowi, Andrzejowi Ajnenkielowi, Jerzemu Axerowi. A prof. Gustaw Zemła odsłonił pięć autorskich mosiężnych figurek cesarza Napoleona Bonaparte. - Cieszę się, że mogłem dotykać cesarza - mówił w Pułtusku artysta, wręczając je: księżnej Napoleon, baronowi Gourgaud, Florianowi Walewskiemu, rektorowi WSH i burmistrzowi Pułtuska. Prorektor WSH dr Krzysztof Ostrowski

powiedział, iż chciałby, aby statuetka była prototypem pomnika cesarza, który stanie w Pułtusku i innych miastach Europy. - Pułtuska WSH traktuje ten wątek historyczny jako jeden ze sprzyjających integracji Europy - dodał.

Dr Andrzej Nieuważny: - WSH jako jedyna w Polsce wpadła na pomysł utworzenia Ośrodka Studiów Epoki Napoleońskiej. To dobrze, bo północne Mazowsze jest historycznie związane z Napoleonem.

Są już pierwsze owoce tej napoleońskiej wyprawy. Narodził się pomysł odtworzenia bitwy pod Pułtuskiem, stoczonej 26 grudnia 1806 r. - Była to w końcu jedna z najbardziej istotnych bitew; jako jedna z dwóch znalazła się na Łuku Triumfal-nym w Paryżu - powiedział Marcin Ochman z Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, zadowolony ze spotkania ze wspa-niałymi historykami i z tego, że ginie marazm i brak zainteresowania historią. - Dlatego planujemy w grudniu przypomnieć wspólnie to wydarzenie.

A w Ciechanowie już powstaje jednostka wojsk napoleońskich, na wzór Pułku Szwoleżerów Gwardii. - Napoleon utworzył go w 1807 r., powierzając dowództwo ojcu Zygmunta, gene-rałowi Wincentemu Krasińskiemu, który spoczywa w Opino-górze - mówi Janusz Królik, dyrektor Muzeum Romantyzmu w Opinogórze. - Moim marzeniem jest, aby szwoleżerowie z Cie-chanowa uczestniczyli w aranżowanych bitwach europejskich.

- Będę należał do tego wojska - zapewnił dr Robert Kłosowicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, też uczestnik uroczystości, chwaląc koncepcję połączenia sesji naukowej ze zwiedzaniem historycznych miejsc. - Interesowałem się epoką napoleońską od zawsze. Właściwie moja przygoda z historią zaczęła się od literatury napoleońskiej, z którą zetknąłem się jako dziecko. Pragnę ją kontynuować, współpracując z pułtuską uczelnią.

Blaszany bębenek

Czas jak skrzypiący wehikuł, przesuwa drzewa.
Historie nowe i powtarzalne. Zmarszczki jak zasuszone
kwiaty, poukładane w jednobarwne bukiety. Karzeł
wystukuje rytm blaszanym bębenkiem. Ponagla chwile,
co kucają za zakrętem schodów. Uciekinierzy niedziel,
wyrywają rzodkiewki na podmiejskich plantacjach snu.
Wiatr wzmaga niepokój, nie jest niewiadomą. Boimy się
niespodzianek. Przynoszą zaniemówienie. Jeszcze nie dryfujemy,
ale ciągle wzdłuż brzegu. Męczące poczucie kolejności
dni. Bębenek wypełnia przestrzeń. Serce spadające
ze schodów. Tulimy karła w powłoce pancerza. Szczelnie
dopinamy guziki. Garnitur dawno uszyty, oszukuje czas.
Żadnych zawirowań. Regularnie nakręcamy zegar.
Możemy spokojnie patrzeć sobie w oczy. Powaga lustra
pieczętuje naszą słuszność. Spowiedzi coraz krótsze.
Z zapamiętaniem słuchamy niesamowitych opowieści.
Blaszany bębenek tłucze serce starej kamienicy.

Poeta nocą

Ty przychodzisz jak noc majowa,
kłamie jeden z nas. Przeważnie jest
roztargnioną dziwką albo zapracowaną matroną.
Czasem muśnięciem wargi, oszalałej firanki
upomni się o swoje. Gwiazdy stoją plecami,
wcale nie szukają naszego wzroku.
Bezsenność i pusta kartka, to tylko drzazga
wbita w nasz wybór. Okno dziewiątego piętra,
prowokuje do lotu, ale trzeba jutro
odprowadzić dzieci do szkoły.
Kartka papieru obroniła swoje dziewictwo,
przynajmniej do następnej nocy. Bo to przecież
pora grzechu.

Pokornieję

Kiedyś szukałem tego w sobie, jak i innych
szlachetności, które znałem tylko z lektur.
A teraz pokornieję, bez przywoływania ducha.
Zaczynam się bać, czy to nie Jakubowa
drabina, po której aniołowie ślą przepowiednie.
Ile trzeba czasu, by stanąć przy studni.
Zapłakać w dłoniach samarytanki. Przecież
jeszcze nie tak dawno tyle chciałem zburzyć.
Przeskakiwałem mosty zwodzone. Kwiaty deptałem
rozkoszując się ich miękkością. Teraz płatek
podnoszę w ciszy przywołując zapadłe dni.
Spowiadam się rzece, opiekunce Ziemi.
Idę dalej ze wzrokiem zdjętym z najstarszych
budowli. Pokornieję, niczym rozłożyste drzewo,
które najbardziej boi się swojego ciężaru.

Ogród

W tym ogrodzie czas uciekł.
Deszcz padał w słońcu, drzewa
kładły głowy w tęczy. Niesamowitość,
było określeniem zbyt dosłownym.
Kwiaty oddały duszę powietrzu,
ptaki przysiadały na ramieniu.
Na dobrą sprawę wszystko było oszustwem,
a jednak nie szukałem prawdy.
Jakbym wszedł w środek obrazu
dziewiętnastowiecznego mistrza.
Słomkowy kapelusz wypełnił się
wodą źródlaną. Nie było miejsca
na słowa. Jaszczurka ześlizgnęła
się z włosów, kwiat rozkwitł
w dłoni. Nic się nie zgadzało.
W zaciekawieniu stanąłem przed
drzewkiem rajskich jabłek.

Niechciane

Naszły mnie te sny, niechciane.
Zapach kadzidła ulatywał z gorejącego krzaka.
Jakiś trucht, niewyraźne szepty.
Golgota zaciskała horyzont,
czerwienią pękniętego nieba.
Poczułem wyrocznię. Rozsądek nie odrzucał
nadziei.
Nie mrużyłem oczu, bojąc się ograniczenia
pola widzenia.
Może byłem słupem zastygłym na potrzebę chwili.
Szron popiołu opadał na trawę.
Rumianek kwitł w tym letargu łąki.
Nie wszystko się zgadzało.
Za dużo było cienia. Bose anioły za zgodą
Jakuba, właziły po drabinie na strych
domu, który odszedł z dzieciństwem.
Bałem się czekać.
Za dużo bliskich nad skarpą losu.
Nigdy nie ma pełnej zgody na odejście.
Gwizd czajnika, przywrócił życie.
Matka była już w kuchni.
Nie chciałem niczego wiedzieć,
tylko zatrzymać czas.

Bezruch

Gwiazdy tamtej nocy rozsypały się niczym korale
z uwalnianej szyi. Znalazły odbicie na zastygłym
stawie, więzącym Świteziankę. Cisza była lepka,
nie padły żadne słowa. Dopiero potem wyszły leciutko,
niczym pierwszy śnieg, który z reguły jest synonimem
nietrwałości. Nie było kobiety ani mężczyzny.
Czyli były to pierwsze dni w dziele Pana Boga.
Taki skrawek Edenu na peryferiach horyzontu.
Nikt nie wołał i nikt nie uciekał. Nawet czas,
który dopiero był w połogu. Zachłystywanie się bezruchem
bywa niebezpieczne, chyba że zrodzi się wiersz.
Najczystsza prawda istnienia. Gwiazdy ponownie zaczęły
układać ludzkie losy. Przeleciał kruk, bezruch tracił cierpliwość.

Lwowska nuta

Jakże pocięte są bruki Lwowa
Pieśnią tramwajów na emeryturze
A za każdym kształtem kościoła
Polska zapisana w murze.

Katedra Matka zasiadła szeroko
Wśród poetów przy źródle miasta
A Jej siostra u św. Jura spogląda
Tam gdzie historii usypana góra.

I tylko wyciągnięta szyja Łyczakowskiej
Dziwi się wiatrom Podola
Że stale nucą pieśń Chodkiewicza, Sobieskiego
I z samego Lwowa.

A ta ostatnia ciągle żywa, młoda i cięta
Jak wróżba spadającej gwiazdy obok Ordona
Wprost na śpiące Orlęta.

Tu chodzisz wśród kolorów śpiącej bieli
Wprost z dolinki na wzgórze i w dolinkę
Coś na kształt pozostawionych dłoni.

I tak Ci śmielej i śmielej
Bo z Tobą nuta w śpiącej bieli żywa
Gdy krew z buntem z twarzy odpływa.

Teraz wiesz jak się śpiewa
Na Lwowską nutę
A także i to, że Batiarów nie ma.

Lwów, 2001 r.

Z różańcem w ręku

Dziesiątki lat pracy
przy żniwach
wykopkach

przy pielęgnacji ziemi
żywicielki
wyczerpały siły
zgięły w krzyżu
powykręcały ręce

po tylu latach
pole
mnie już nie ciągnie
już chciałabym posiedzieć
w cieple
w spokoju
z różańcem w ręku
pomodlić się za żniwiarzy
o ich zdrowie i siły do pracy
i za moje wnuki
by szły przez życie
szczęśliwą
Bożą drogą

3 Maja

Pamiętam
święto 3 Maja
z lat dzieciństwa
było zielono
młodo
wiosennie
od szkoły szliśmy uroczyście
z biało-czerwonymi sztandarami
Uczniowie

nauczyciel
mieszkańcy
ulicami Janov
echo roznosiło
nasze śpiewy
Aż Orzyc
otulony zielenią łąk
dziwił się ogromnie
Szliśmy do kościoła
pomodlić się do Matki Bożej
za Konstytucję
za Ojczyznę

Przypomnienie Drzymały

Zielone światło
przestało mrugać
do rolników
przygasa
ojczyzna matka
coraz bardziej
staje się macochą
i łez coraz więcej
na wsi
gorzkich jak piołun
biedy

Czyżby rolnicy
musieli sięgać
do historii
i postępować
jak niegdyś Drzymała
co wolał zamieszkać
w cygańskim wozie
niż sprzedać
ziemię żywicielkę

Ręce matki

Ręce matki
są niczym słońce
po burzy
niczym gołębie
kołyszące ciszę
Ręce mojej matki
przeniosły mnie
przez niemowlęctwo
postawiły na ziemi
nauczyły chodzenia
nauczyły
składania mych dziecięcych
rąk
do modlitwy
Zaprowadziły
do kościoła
uczyły pracy
i szacunku
dla ziemi
ojczystej

Świt

Wschodzące słońce
rozwiera życzliwe ramiona
prześwietla
przenikliwym okiem
drętwe brody drzew
głaszcze ptasie gniazda

Kładzie ciepłe dłonie
na skamieniałą od mrozu
pierś matki ziemi
by ją przywrócić
do życia

Nie zawsze

Wiśnia
drzewo ludziom przyjazne
nie zawsze się uśmiecha
wiosennym kwieciem
jesienią gubi liście

gryka
nie zawsze ma
nektaru miodnego
pełną zapaskę dla pszczół
po żniwach odpływa
czas - kaskada rzeki
życia
przynosi zmarszczki
na lica ludzkiej młodości
cóż
trzeba nieść więcej dobroci
jest lżejsza
w życiowym bagażu
gdy zima
szronem włosy okrasi
na ostatnie dni

Brzask

brzaskiem koguty swe gardła
zrywają
powitalne okrzyki radość
wypełnia
mnie także świtanie
dech w piersiach zapiera
i wołanie ramiona
ku słońcu unosi
1976 r.

W bryle bursztynu

uwięziony w prostopadłościanie
nie rozpaczam
odcięty od źródeł ciepła
dla rozgrzewki
przytupuję
udatnie stwarzam pozory
obecności
1977 r.

Okruchy myśli

Nawet drobne okaleczenia z dziecięctwa mogą się zmienić w niegojące się stygmaty.

Siebie i Boga, niestety, trzeba odkrywać samodzielnie.

Z każdego dnia da się wyłuskać coś dobrego, każdego dnia choć jeden krok do przodu.

Rozglądam się od lat dokoła, i nic, nikt nie woła.

I najpiękniejsze nogi mają swój początek i koniec.

Chętnie bym przyznał się do wszystkiego, lecz nie chcę wzbudzać bezinteresownej zawiści.

Współczesna kobieta chce być coraz bardziej pociągająca erotycznie - ulica przypomina coraz bardziej plażę lub solarium.

Pisarz to najczęściej człowiek, który wciąż nie może się nacieszyć, że nauczył się pisać.

Wszystko, co znajduje się na powierzchni ziemi, także i nasze ciała, podlega bezlitosnej erozji i grawitacji.

Nasze „dorosłe" problemy mają taką samą wagę jak dziecięcy problem „potłuczonych lalek".

Wszechobecny bezwład ciała spowodowany grawitacją nieustannie usiłuje wymusić pierwszeństwo przejazdu.

Wciąż łudzimy się, że dekoracje zastąpią nam istotę rzeczy.

Dystansu do własnych zmartwień nabieram dopiero wtedy, kiedy spotykam innego zmartwionego.

Nie spiesz się, przykładaj się w pracy, a wszystko wyjdzie ci tak pięknie jak z pismem ozdobnym.

Zaniedbana biegłość wysycha tak szybko, jak wkład w długopisie, po jakimś czasie będziesz już tylko w stanie żłobić nieczytelne wgłębienia w papierze.

Większość z nas jest dożywotnio zagrzebana we własnych, najczęściej bezużytecznych przyzwyczajeniach i uwięziona w zwierzęcej cielesności.

Życie bez zafascynowania seksem, macierzyństwem i ojcostwem jest ułomne, bo pozbawione naturalnego napędu.

Bóg nie daje za darmo, gdyby tak było, byłby złym ojcem.

Prawdziwa doskonałość pojawia się wówczas, kiedy jest efektem świadomego wyboru i codziennej pracy - nad sobą.

Im uboższe jest wnętrze, tym większą wagę przywiązujemy do przykuwającej uwagę elewacji.

Nic nie przywraca tak dobrze równowagi psychicznej, jak obserwacja planet, gwiazd i...nagrobków na cmentarzu.

W skali kosmosu jesteśmy odrobinę więksi.....od elementarnej cząstki materii.

Tylko nieliczni ludzie ze wsi zachowali jeszcze pełnię człowieczeństwa, są rzeczywiście ciekawi i ludzi, i świata, nie oprocentowują swego kredytu ufności i sympatii.

Fenicjanie wymyślając pieniądze chcieli sobie ułatwić życie, nie przypuszczając, że tworzą najbardziej zachłannego bożka.

Ten, kto rozdziela codzienny obowiązek od przyjemności, jest głupcem.

Sztuka życia jest do opanowania, tak jak każda inna, musimy jednak doskonalić ją każdego dnia.

Bez wierszy pisanych wieczorem sypiam spokojniej, lecz sny są coraz bledsze i spowolniałe.

Chcesz stać się kimś innym? Znajdź inną studnię i kubek!

Requiem dla Z. K.

Twój portret przetrwał w szarościach i czerni
Mimo to z jasnym czołem idziesz na spotkanie
Twe perły dla mnie nie straciły blasku
Choć mówią: żeś z pychy zrodzon i z nakazu
Jak wielka mechanicznie natchniona pomarańcza

Nikt dotąd tego czasu nie wymierzył
Kiedy olbrzymiałeś w białej chłodnej celi
To wtedy wymyślałeś swój teatr cryptoportigue
Już wtedy wiedziałeś co się nam przydarzy
To wiara cię wybrała, ty wybrałeś słowo
1978 r.

wiersz

powinien naturalnie
obrastać w słowa
z mgły skleja się
i kropla.....
i śniegowy płatek.....
i kulka gradowa.....
możesz być tylko wiatrem
niosącym kondensacji jądra
1999 r.

słowa

wysypują się nieustannie
z rękawów prestidigitatora
z rozdziawionych ust
z szeleszczącego papieru
w fałszywym natchnieniu
wypluwają je w naszym kierunku
gadające głowy
a dobry i sprawiedliwy młyn
tykającego zegara
rozdrabnia je
w szary pył
który osiada za nami
zamiast cienia
2000 r.

nawykli

nawykli do kropek, przecinków, nawiasów
krągłych zdań, strof, rymów dla sztuki
pustosłowia i głuszącego wszystko hałasu
byliśmy, jesteśmy i będziemy głusi

nawykli do opowieści o wszystkim i niczym
próbujemy kreską coś obwieść
na płótno rzucać przypadkowe plamy
w papierowej piramidzie coś znaleźć

nawykli do szukania cierpliwi poeci
odnajdą znaczenia w samobójczych gestach
a to, co utkwiło w codziennych okruchach
wyłowią, ziarna na posiew wykpione przez innych
1980 r.

Cyprian K. Norwid: „Shylock", 1848 r.

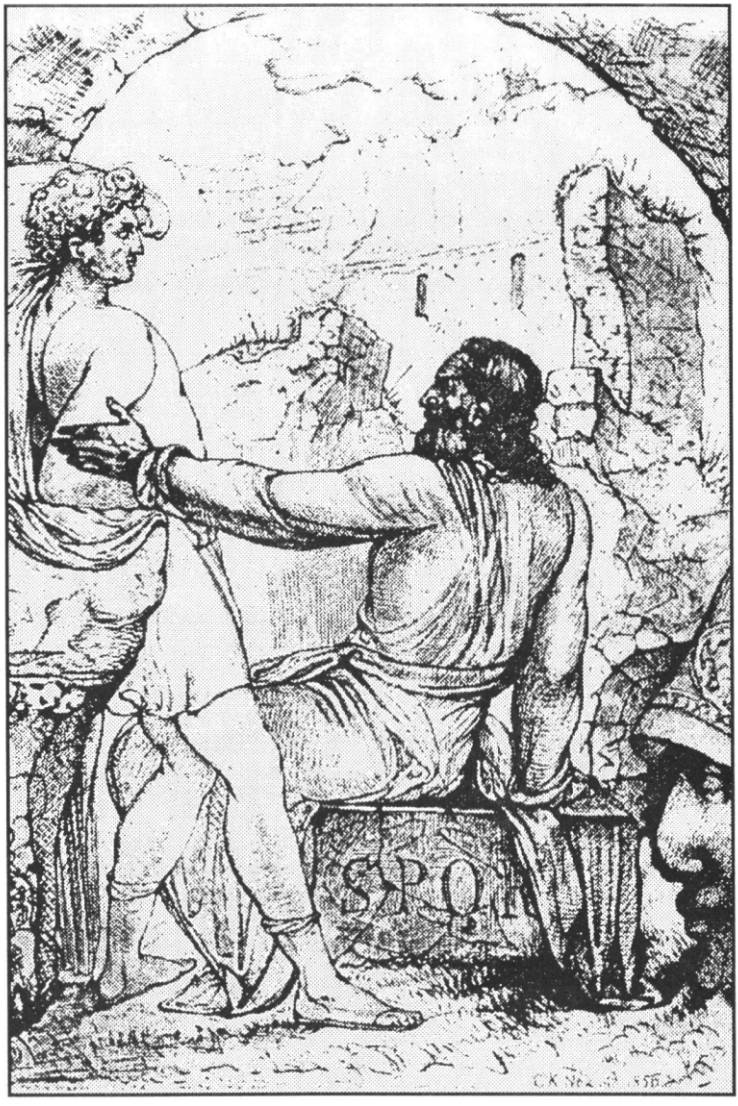

Cyprian K. Norwid: Ilustracja do „Irydiona", 1850 r.

Wnuk pomni dzieło

i wraca w przemoczonych butach
z torbą pękniętą od mrozu
z siąkającym nosem
z pustką zamarłą w oczach
spojrzy w kąt
na połamane skrzydła
zagrypiałą muzę
i pegaza
którego nie ma serca dobić
usiądzie tak jakby
nie spadła mu na głowę
siekiera
by napisać swoje ciepło
o zakwitających wiśniach

Świt

na co było strącać rosę
w tej kropli był liryk
jak pierwszy pocałunek

Rybo

zimna rybo
wyciosana z kryształu lodowca
mój ideale
rybo płynąca
z pokoju do pokoju w kierunku słońca
od zmierzchu do wschodu
wyczekuję
każdego drgnienia wody
taki spragniony
rozpalony
tak ugasić chciałbym
swoje myśli twoim lodem

rybo
rybo nieruchoma
nie dajesz mi znaku płetwami
RY BO CO
stopić tę cholerną zimę
lub choćby wyrąbać przerębel
to ja żądam powietrza

***

nie gniewaj się
że nie chcę
podarować tobie wiersza
on jest napisany
w twojej duszy

Dzwoneczek

jak cicho dzwoni dzwoneczek
jak trudno przekrzyczeć
szemrzące źródło
jak trudno usłyszeć
bijące serce
będę ochraniać dzwoneczek
przed skalpelem słońca
kaszlem wiatru
spojrzeniem lodu
milczeniem wrogów
bo warto by dzwonił

Siła

z wyciśniętych
stu słów
będzie ślad
drzazgi z motyki
na papierze

Miłość

- Może ty sobie koleżanko, kolego nie zdajesz z tego sprawy, ale w życiu najważniejsza jest miłość - stwierdził melancholijnie Bonawentura.
- Kto? - spytał półprzytomnie Lolek.
- Najwspanialsze uczucie na świecie! - westchnął Bonawentura.
- Co to jest uczucie? - podejrzliwie zaczął dociekać przyjaciel.
- Ono wciąga i zniewala, aż można zwariować - Bonawentura patrzył przed siebie, tak jakby Lolek nie istniał, mimo że istniał.
- Jak wygląda? - przeszedł do konkretów Lolek.
- Jest wszechogarniające, porywające, po prostu szalone - z zadumą w głosie odparł Bonawentura.
- Gdzie je można spotkać?
- Niełatwo je znaleźć - pokręcił ze smutkiem głową Bonawentura.
- Czy ty je kiedyś spotkałeś?
- Tak.
- Gdzie?
- Na swojej drodze życia - Bonawentura zatopił się we wspomnieniach.
- I co się stało?
- Pech, nasze drogi tylko się przecięły.
- Gdzie ona jest teraz?
- Tego niestety nie wiadomo - wzrok Bonawentury, wpatrującego się w odległy horyzont, a raczej w to co jest za nim, stał się szklisty.
- Niemożliwe, przecież musi gdzieś mieszkać, pracować, jeść, na pewno ma paszport, konto w banku, numer ubezpieczenia albo przynajmniej statystyczny, na pewno można odnaleźć.
- Mieszka w sercach, kiedy rozum śpi, zajmuje się beztroską radością dawania szczęścia, żywi się potęgowaniem doznań, paszport zmienia jak rękawiczki, dostrzec je można tylko po śladach na piasku, w odbiciu oczu, blasku świecy, w tradycyjnym pojęciu jest niewidzialne, tak jakby miało czapkę niewidkę.
- Aha! To proste - ucieszył się Lolek. - Wystarczy ściągnąć tę czapuchnę i już je mamy - zatarł uradowany ręce.

- Możesz spróbować, ale więcej na tym stracisz niż zyskasz - pesymistycznie pokręcił głową Bonawentura.
- To w końcu chcesz je złapać czy nie? - Lolek wbił czujne spojrzenie w Bonawenturę.
- Chcę, żeby samo do mnie wróciło.
- A wie, że czekasz na nie?
- Nie wiem.
- To daj ogłoszenie w gazecie, może się odezwie.
Następnego dnia Bonawentura jak szalony pobiegł do biura ogłoszeń. Z powodu głębokości swego afektu był pierwszy. Od razu wystartował do uśmiechniętej urzędniczki.
- Chciałbym dać ogłoszenie... - zaczął nieśmiało.
- Jakie? Drobne, ramkowe, modułowe, przez ile dni? - wystrzeliła serią pytań urzędniczka.
- Chyba drobne, jednego dnia.
- Nasza gazeta, co prawda, ma najwyższy nakład i najwyższą poczytność, ale przy tej liczbie ogłoszeń zastanawiam się, czy jednokrotna emisja zostanie na pewno zauważona. Myślę, że panu bardziej odpowiadałoby zamówienie serii siedmiu ogłoszeń. Tak się składa, że dla takich, specjalnych klientów jak pan, mamy specjalną ofertę. Jeżeli zamówi pan u nas siedem ogłoszeń przez kolejnych siedem dni, ósmego dnia takie samo ogłoszenie wydrukujemy panu za darmo! Cieszy się pan?! - spytała z radością urzędniczka.
- A ile ma to kosztować? - spytał się ostrożnie Bonawentura. Dziewczyna z lekceważeniem machnęła ręką i wypowiedziała kwotę. Chłopak błyskawicznie zorientował się, że nie rajcuje go bycie specjalnym klientem, na którego biuro ogłoszeń zarzuciło specjalną sieć.
- A gdyby to były trzy dni? - spróbował wybadać grunt Bonawentura.
- Trzy dni to, zgodzi się pan ze mną, niewiele. Zastanawiam się jednak, czy nie zechciałby pan zamówić trzy razy po trzy ogłoszenia. W takim przypadku mam dla pana niezwykle atrakcyjną propozycję. Jeżeli zamówi pan u nas trzy razy po trzy ogłoszenia

w ciągu trzydziestu dni, nasza wspaniała, poczytna gazeta wydrukuje panu jedno ogłoszenie gratis, oczywiście pod warunkiem, że jego treść i wielkość oraz położenie będą takie same jak poprzednich dziewięciu.
- Prawdę mówiąc ta oferta niewiele różni się od oferty specjalnej - spostrzegł Bonawentura.
- Zastanawiam się, czy pan rzeczywiście chce skorzystać na naszych specjalnych ofertach.
- Jestem nimi zainteresowany, ale nie interesuje mnie bankructwo.
- Jeżeli dopiero otwiera pan swój biznes, mam dla pana niezwykle interesującą ofertę. Nasza gazeta jest gotowa kredytować koszt pana ogłoszeń za udziały w pana przedsięwzięciu. Partnerstwo naszej gazety dodaje pana interesowi prestiżu i stabilności. Bardzo wielu klientów korzysta z tej formy współpracy z naszym pismem. Dzięki temu nasze biuro ma swoje skromne udziały w większości przedsięwzięć. Niesie to za sobą także społeczną korzyść, jaką jest stabilność rynku, podaży, popytu, inflacji, dewaluacji, wzrostu kosztów, dochodów i stopy życiowej. Wspólne przedsięwzięcie to zwiększona gwarancja sukcesu i zmniejszenie wydatków inwestycyjnych. Zaoszczędzone tą drogą pieniądze można przeznaczyć na zasilenie kapitału pierwotnego lub zamieszczenie ogłoszeń w naszej gazecie. Nasz przedstawiciel w pana firmie zajmie się wynegocjowaniem atrakcyjnych rabatów w naszej gazecie.
- Wie pani, ja chcę zainwestować w coś ponadczasowego, ogólnoludzkiego, wzniosłego. Na pewno wszyscy będą mieli z tego wymierne korzyści, chociaż nie wydaje mi się, by można było w tym przypadku mówić o typowym przyroście kapitału, to raczej metafizyczna inwestycja.
- Proszę pana, może ja pana skieruję do naszego działu prawno-informacyjnego.
- Mnie chodzi o miłość...
- Doskonale, nasi specjaliści wycenią wartość rynkową, ułożą biznesplan, określą możliwości zaangażowania się w to naszej gazety.
- Mnie nie chodzi o dom publiczny.

- Mam nadzieję, nasza gazeta nie angażuje się w tego typu przedsięwzięcia.
- Angażujecie się w idee?
- Ależ oczywiście, czy zna pan jakieś bardziej rentowne inwestycje o niskim współczynniku zaangażowania środków trwałych?
- Na pewno mówimy o miłości? - z niedowierzaniem dopytywał Bonawentura, albowiem żywił nadzieję, że śni i jednocześnie był przerażony, ponieważ czuł, iż ta nadzieja jest głupia.

Dezynsekcja

Bonawentura usłyszał dzwonek i otworzył drzwi. Zobaczył młodą ciemnowłosą dziewczynę uśmiechającą się do niego przymilnie. Była ubrana w czarny golf, czarne spodnie i buty, na rękach miała czarne bransolety, a w uszach czarne kolczyki. Wyglądała na pogrążoną w żałobie, na pozbawioną nadziei i wierzącą, że jedynym wybawieniem i jedynym lekarstwem na wszystko jest śmierć. Bonawentura się nawet zastanawiał, czy nie jest ona wysłannikiem śmierci, miał się ją nawet o to spytać, ale zabrakło mu odwagi. Pomyślał, że jeśli rzeczywiście przyszła, aby go zabrać w niebyt, zaraz się o tym dowie, a jeśli nie, to takim pytaniem niepotrzebnie się skompromituje.
- Czy mogę wejść? - spytała.
- Tak, proszę.
Usiedli w pokoju Bonawentury.
- Czy u pana są karaluchy? - dziewczyna zaczęła się rozglądać.
- Nie - chciał ją uspokoić Bonawentura.
- Naprawdę? - podniosła brwi ze zdumienia.
- Tak - Bonawentura uśmiechnął się, by być bardziej przekonywującym, albowiem dziewczyna sprawiała wrażenie niedowierzającej jego słowom, a poza tym przejawiała objawy lekkiego zaniepokojenia.
- To niemożliwe! - prawie się uniosła, nie mogąc uwierzyć.
- Dlaczego? - Bonawentura nie mógł zrozumieć dlaczego, po pierwsze - w jego mieszkaniu mają być karaluchy, po drugie-

dlaczego dziewczyna mu nie wierzy?
- W całym tym domu są karaluchy, są na każdym piętrze, na każdej klatce schodowej, w każdym mieszkaniu, skrywają się w zakamarkach, czyhają na nasze życie, aby przy pierwszej nadarzającej się okazji wyjść i zaatakować nas.
- Nie wiedziałem o tym - wyznał Bonawentura ze zdziwieniem, zastanawiając się, czy aby dziewczyna jest przy zdrowych zmysłach.
- A zatem u pana muszą być również - wykazała się żelazną logiką dziewczyna i skierowała swój wskazujący palec oskarżycielsko-demaskatorski w kierunku Bonawentury.
- Kiedyś były - Bonawentura postanowił ustąpić wobec przytłaczających go argumentów.
- Więc jednak! - dziewczyna triumfowała i dla podkreślenia swego zwycięstwa podniosła palec wskazujący do góry.
- Tak, ale najpierw były tu mrówki...
- I co, i co się z nimi stało? - spytała niecierpliwie.
- Właśnie karaluchy je zjadły - uśmiechnął się Bonawentura.
- Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że umarły z przejedzenia? - prawie się zgorszyła.
- Nie, ale potem były myszy.
- To duży problem - pokiwała za smutkiem głową dziewczyna.
- Niezupełnie, myszy rozwiązały przynajmniej problem karaluchów.
- Jak? - dziewczyna zdawała się nie rozumieć.
- Tak jak zniknął problem mrówek.
- To fascynujące! A zatem ma pan myszy! - wykrzyknęła uradowana dziewczyna i klasnęła w ręce, jakby spotkała ją niezwykła, wspaniała niespodzianka.
- Nie, bo widzi pani, na myszy są koty - zauważył Bonawentura.
- Rozpleniły się panu koty - starała się odgadnąć myśli chłopaka dziewczyna.
- Nie, kupiłem łapki na myszy - rozczarował ją.
- I teraz nie może pan sobie poradzić z tymi łapkami?
Dziewczyna postanowiła walczyć do końca.

- Jakoś sobie poradziłem, chociaż uczciwie muszę przyznać, że nie było to łatwe - wyznał skromnie, spuszczając głowę Bonawentura, albowiem czuł, że odpowiedź nie zadowoli dziewczyny.
- Chce pan powiedzieć, że nie ma pan ani mrówek, ani karaluchów, ani myszy, ani kotów, ani łapek na myszy? - niedowierzała.
- Tak.
- To co pan ma? - spytała ze współczuciem przemieszanym z rozpaczą.
- Właściwie to nic - odparł bezradnie.
- Właśnie dlatego przychodzę! - ożywiła się.
- Jak to? Co mi pani chce podarować: mrówki, karaluchy, myszy, koty, czy łapki na myszy? - przeraził się Bonawentura.
- Nie! Jeśli nie ma pan ani mrówek, ani karaluchów, ani myszy, ani kotów, ani łapek na myszy, to przecież w każdej chwili może je pan mieć! - odparła trzeźwo.
- No rzeczywiście, mogę - zgodził się Bonawentura.
- I wtedy pojawiamy się my! - wykrzyknęła uradowana dziewczyna.
- Po co?
- Żeby pomóc panu je usunąć. Dysponujemy najnowszymi metodami i środkami w tej dziedzinie.
- A słyszała pani o tym, że to nieładnie zabijać żywe istoty?
- Proszę pana, życie to dżungla, albo oni nas, albo my ich - odparła rozbrajająco szczerze.
- Inaczej się nie da? - szukał wyjścia z sytuacji Bonawentura.
- Bardzo mi przykro, ale nie - pokręciła głową.
- To smutne - zamyślił się.
- Właśnie nasza firma jest po to, żeby rozwiać pana smutki.
- A czy nie moglibyśmy się spotkać prywatnie, porozmawiać o kwiatkach i pszczółkach? - spytał z nadzieją w głosie Bonawentura.
- Bardzo mi przykro, ale prywatnie ja nie zwalczam ani kwiatków, ani pszczółek.
- To wspaniale, bo ja też nie! - ucieszył się.
- To po co się mamy spotykać? - zniecierpliwiła się dziewczyna.

- Bo wydaje mi się pani sympatyczna.
- Pozory mogą mylić - zauważyła ostrożnie.
- To trzeba sprawdzić - wyznał entuzjastycznie Bonawentura.
- Pan jest szalony - stwierdziła i w jej głosie można było wyczuć przerażenie.
- To chyba normalne - powiedział i pomyślał Bonawentura, któż bowiem inny chciałby się spotkać z wysłannikiem Śmierci?

***

Nie wyprowadzicie się stąd
nie odejdziecie, nikt już
wam nie obieca następnej
ziemi obiecanej.

Pochylcie się nad Tablicami Mojżesza
i pokochajcie waszych nieprzyjaciół.

Zapal chociaż promień
a noc opadnie.

***

Dziesięć praw na
tablicach z kamienia

I biała chustka wstydu.

Mądrość władcy

Pasy czarne i białe,
szersze i węższe,
wyraźne na twoim szalu.

Okręcasz mi stopy,
ogrzewasz,
patrzysz w oczy.

I za to cię pokochałam
mój nagi królu
Salomonie.

Podarunek

Przyniosłeś mi szal z wielbłądziej wełny
i zachwyciłam się ciepłem i miękkością.

Niebawem nadejdzie wieczór...
Okryjesz mnie,

otulisz,
aż zniknę.

Może zapłaczesz, może
będziesz mnie szukał, albo
podarujesz mój szal
następnej kobiecie.

Cykuta

Odważnie oczekujesz śmierci Sokratesie
z pogodnym spokojem, tak bliskim uśmiechu.

Przynosi Ci ją w czarze wypalonej z gliny
chłopiec o szczupłych biodrach.
Piękny, jakby posąg ożył
lecz to nie kochanek a kat.

Patrzysz mu prosto w oczy
i wypijasz do dna.

Trucizna już działa.
Odchodzisz Sokratesie
a my wciąż pijemy cykutę
patrząc w smutne oczy nieznanego bożka.

Przez wieki i na wieki...

***

Tyle lat marzeń
a dzisiaj się spełniły.

Długie modlitwy
i już wysłuchane

Oczekiwałeś gwiazdy
i nagle zabłysła.

Szukałeś

Przyszłam

Naszyjnik

Skóra się go boi,
kurczy się i cofa przed chłodem srebrzystym.
I dopiero po chwili,
kiedy już rozgrzeje wszystkie ogniwa, kamienie i blaszki
staje się szczęśliwa.

Mufka

Samotne zwierzę, puszyste, ciepłe
i chore na uległość
wobec dziesięciu niesfornych palców.

***

Nie wysłałam do ciebie tego listu.

Napisałam i spaliłam.

Dziś żałuję, bo brakuje mi
tamtych liter i myśli
już zapomnianych.

To twoja zemsta.

Na dole, w rogu...

Wieczór.

Dokąd odwracasz się
słońce
widnokręgi
błękitne
błyszczące

wyprostujesz się
zadowolony
robota dnia

patrzysz na siebie
jak na część
wspaniałego obrazu

człowieka w przyrodzie

nagle zauważysz
na dole
w rogu

coś się dzieje

podniesie się
mała szara chmura

jak piłka
lub
grzyb

wezdmie się
coraz bardziej
aż wszystko pożera.

Przez granice

Białośnieżno,
bezdrzewnie,
bezludno.
Pole kamieniste,
pole piaskowe,
góra zamkowa.
A wtedy nagle -
Flaga jak pulsujący płomień,
Piec szeleszczącym gorącym oddechem.

Ślady ludzkie
W pustynnym wszechświecie żywiołów.

Z krainy fiordów

Wyspy
płynące jak statki
przeciw potężnym falom
w oceanie gdzie góry
górują nad wodami
grzbietami lodowatymi.

Góry fałdziste jak fale,
biegną wzdłuż stromych brzegów,
szczyty jak gigantyczne końskie grzywy
odbijają swoją bieliznę w wodzie.

To - kraina fiordów, tam gdzie
fiordy wyciągają ciemne palce
do serca bajecznej krainy,

pokazują gdzie iść.

Krajobraz skupi się w błysnących
biało i błękitno odcieniach, daje
podróżnikowi swoje przywitanie:
Witam w fiordów krainie.

Dziś nocą

Dziś nocą
zorza polarna
kręci ogonem wężowym
nad niebem

Dziś nocą
wybuch płomieniem
zdziera czarny płaszcz
nocy zimowej

Dziś nocą
lata świetlne
leją się potokiem
przez żyły

Po mrozie -
pożar

Po ogniu -
popioły

Krajobraz bizantyjski

Trzykrotnie wyszedł władca na barbakan.
Trzykrotnie sułtan badał fortyfikację miasta.
Trzykrotnie wódz rozkazał stolicę brać.

Trzykrotnie wojsko atakowało.
Trzykrotnie smoła ciekła z ust czarnych.
Trzykrotnie krew lała się z ran czerwonych.

Przy trzecim natarciu zamek spłonął,
czadzący się jak ogień w deszczu szarym.
Kraj otworzył swoje bramy
jak kobieta zgwałcone łono.

A jeszcze dzisiaj krwawi kraj,
każdym rankiem po deszczu
Płyną potoki krwi z jego serca,
brązowe paski w morzu błękitnym.

Rumeli Hisar, 1965 r.

Przebiśnieg i przylaszczka

Spotkałem, o świcie, w ogródku
dwa słowa niesłychane, jedno białe,
a drugie niebieskie - przebiśnieg i
przylaszczka; przebiśnieg, i
przylaszczka.

Nie są to, wbrew pozorom, imiona
kwitnących dziewcząt, których mi
wszyscy zazdroszczą; przebiśnieg i
przylaszczka.

To raczej są nazwy jakichś
tajnych aparatur do skomplikowanych
zadań w dziedzinie przedwiośnia:
przebiśnieg oraz przylaszczka.

Szamoczą się teraz i hałasują
w wazoniku na stole.

Mały kwiatku, nawet ciebie
nie jestem godzien. Wypchnęły cię
na świat, na chwilę ciemne siły
telluryczne - zakwitłeś...i
spełniłeś co do ciebie należało.

Larwa

Ciasne, zaniedbane lotnisko
dla latających dywanów - sala
szpitala w M.

Stara i wyniszczona, nolens
volens, nowotworem Cyganka,
zapewne matka roju,
w otoczeniu barwnej rodziny
wchłania kolejnego kabanosa
i popija sokiem z pomarańcz...

Cyganiątka wstrzymują oddech,
zaraz nastąpi cud przeistoczenia:

pęknie łańcuch życia i śmierci
- z pomarszczonej larwy wykluje się

motyl w przepychu kolorowych
spódnic.

Patrzą, wstrzymując oddech -
jeśli uda się matce, kiedyś uda się
im!

***

pamięci Maryli L., raz jeszcze

W czynie społecznym
sadziliśmy na młodych gruzach
młode drzewka,

a teraz park wieczorny
tarza się tutaj w swych roślinnych
wiecznościach,

jak gdyby tutaj nigdy nic
się nie zaczynało.

Prawie trzysta tysięcy kilometrów
na sekundę, i prawie trzydzieści lat....

- spróbuję to podliczyć:

ponad dwadzieścia osiem trylionów
kilometrów stąd

znajdują się teraz nasze
pocałunki, Marylko;

gdzieś w pustkach kosmicznych
ogrzewają pył galaktyczny,
osypujący się później na planety
bezludne -

tam, gdzie teraz zapewne i ty
przebywasz, Marylko:

bo umarłaś niedługo potem
i zapomnieliśmy o tobie.

Cztery izdebki....

Cztery izdebki, książki,
sprzęty, wieczór z pęknięciem
księżycowym - mój biedny
Titanicu.

W radiu muzyka taneczna.

Wokół, jak sięgnąć
pamięcią i wyobrażeniem, faluje
wzburzony Los.

Moja góra lodowa
leży już w łóżku;
zakryta, jak należy, po
czubek głowy.

Zlodowaciały ogrom
jej samotności pogrążony
jest w ślepym żywiole
i niewidoczny.

Titanicu, nie miałeś
tu żadnych szans.

Co byś nie mówił...

Co byś nie mówił -
one naprawdę cierpią, cierpią
strasznie;

cierpią, bo ich nie kochasz
tak jak tego pragną - a umrzeć za nie,
to najmniej co tu można zrobić...

Nie ma szczęśliwych kobiet.

Co najwyżej, udaje się
je zaspokoić, a i to zaledwie
na chwilę.

One cierpią. Cierpią, kiedy są porzucane
i kiedy same odchodzą. Kiedy bywają zdradzane i
kiedy muszą zdradzać.

Cierpią, dręczone, bite, lżone
i upokarzane. Cierpią, pławione, palone
na stosach.

Cierpią, kłute nożami, duszone,
przebijane osikowym kołkiem...; naprawdę
cierpią, wtedy też cierpią.

I nie warto tego sprawdzać.
I tak niemal nas nie zauważają.

Chwila

Od pierwszego krzyku
do ostatniego westchnienia
mijają lata
A przecież jestem tu
na ziemi
tylko chwilę
Zapalonym i zgaszonym
z woli Stwórcy
światłem

Nieprawda

To nie jest prawda
że ktoś cię skazał
na samotność
To tylko twój wybór

Spójrz na swoją dłoń
Który z tych palców
jest samotny?
Widzisz - żaden.

Kciuk jest trochę indywidualistą
zawsze stoi z boku
ale to jemu właśnie
najłatwiej jest wtulić się
w pozostałe
Wskazujący jest jak wódz,
Środkowy zawsze w towarzystwie
Serdeczny i mały niechętnie
robią coś w pojedynkę

Wszystkie pięć
najsprawniej
zginają się
i prostują
razem

Zginaj się z nami
i ty
Prostuj plecy
gdy już wszystko
zostało zrobione

Nie, nie wołaj
na świadka
kołka z płotu
Jest kłamcą jak i ten
kto go nazwał
Bo jeśli w płocie
to też ma się
na czym oprzeć

(Z tomiku „Chwile")

Są takie miejsca

Nie szukaj chleba
w spalonej piekarni
ani wody
w rozbitym dzbanie

Nie szukaj koniczynki
na pustyni
ani ognia
na morzu

Nie znajdziesz
serca w maszynie
w smutku wesela

Nie znajdziesz
przyjaciół
gdzie są pieniądze

Moje przygody z poezją Czesława Miłosza

W trwodze i drżeniu myślę, że spełniłbym swoje życie
Tylko gdybym się zdobył na publiczną spowiedź
Wyjawiając oszustwo, własne i mojej epoki:
Wolno nam było odzywać się skrzekiem karłów i demonów
Ale czyste i dostojne słowa były zakazane
Pod tak surową karą, że kto jedno z nich śmiał wymówić
Już sam uważał się za zgubionego.[1]

Autor tego utworu za *wielki dar Pana Boga* uznał fakt, że mając dziewięćdziesiąt lat może pisać wiersze. Na dowód tego przed kamerami TVP przeczytał cztery dotąd jeszcze niepublikowane, trzy dłuższe i jeden krótki, który - jak przekornie sam powiedział - *jest trochę humorystyczny, ale trochę poważny*. A oto ten wiersz:

Jeżeli Boga nie ma,
to nie wszystko człowiekowi wolno!
Jest stróżem brata swego
i nie wolno mu brata swego zasmucać,
opowiadając, że Boga nie ma![2]

Mamy przed oczami dowód, jak utalentowany i wielki poeta, laureat Nagrody Nobla, zaprzeczając zbanalizowanemu już twierdzeniu i wyprowadzając z niego logiczne konsekwencje, potrafi zaniepokoić każdego, komu nieobce są problemy związane z pobytem człowieka tu, na Ziemi i okrytej tajemnicą jego przyszłości, a co równie ważne wskazać mu granice ludzkiej wolności. „Przykazanie" - tak zatytułował poeta ten utwór - być może przemówi także do sumień i myśli tych, którzy sami zarażeni chorobą dwudziestego wieku, skazani na nihilizm i amoralizm, chcą i innym odebrać wiarę w wartość i sens ludzkiej egzystencji. Jest on wyrazem nie tyle późnej, co pełnej dojrzałości

1 Czesław Miłosz - *Wiersze*. Kraków 1993. Znak. Cyfra rzymska oznacza tom, arabska stronę (II, 219).
2 Z taśmy magnetowidowej.

poety, któremu „spazmatyczna historia Polski i świata" w ubiegłym wieku nie poskąpiła licznych, różnorodnych i niezwykle gorzkich, a czasem dojmujących i bolesnych doświadczeń. W audycji tej poeta potwierdził, że nie tylko jest „kapitanem cieni", ale i „stróżem braci swoich", którzy strzegą swego człowieczeństwa i skutecznie się bronią przed całkowitym zachwaszczeniem własnych sumień. Nie jest to łatwe w epoce, w której „człowiek się zmienia,// Przeczy sobie, a jednak nie zdycha ze wstrętu", a gdy już się znajdzie w piekle - tym stworzonym przez siebie - wybiera wygodniejszą dla siebie rolę i „(...) spycha// W kocioł biedną duszyczkę, która piszczy rzewnie,(...) Lepiej chyba być diabłem niż duszyczką? Pewnie".[3]

Wierni czytelnicy naszego, polskiego poety przeżyli chwile radości, gdy ujrzeli go w doskonałej formie i jak zawsze wzorowo czytającego swoje nowe wiersze („Późna dojrzałość", „Wysokie tarasy", „Przykazanie", „Przewaga"). Z polskich poetów XX wieku tylko Konstanty Ildefons Gałczyński był obdarzony równie piękną barwą głosu (chociaż bez litewskiego zaśpiewu) i taką umiejętnością operowania intonacją oraz precyzyjnego rozłożenia akcentów. Nawet Władysław Broniewski, który lubił popisywać się recytacją swoich utworów poetyckich, nie dorównywał Miłoszowi, nie mówiąc już o innych poetach, którzy nie umieją czytać swoich wierszy. „Nie przypisuję sobie szczególnych talentów recytatora - pisze poeta we wstępie do „Antologii osobistej" (1998) - jest to jednak umiejętność, której można się nauczyć. Nie podobał mi się sposób czytania wierszy przez aktorów, musiałem więc nauczyć się, jak to robić samemu, nie tylko po polsku, także, ze względu na moje wieczory autorskie w Ameryce, po angielsku. I polubiłem samo przenoszenie znaków literowych na głos, niezależnie od tego, czy były to moje własne wiersze, czy wiersze innych poetów". Dodajmy, że zgodnie z moim przekonaniem, tylko autor czytający własne utwory może odsłonić ich pełną wartość semantyczną.

---

3 (II, 20)

Nieprzypadkowo nazwałem Miłosza naszym, polskim poetą, mimo że czasem odżegnuje się on od przynależności do tej nacji, zastanawia się nad własną tożsamością narodową i poszukuje poetów, którzy przeżywali podobne rozterki. Nigdy natomiast nie zdarzyło mu się dystansować w stosunku do języka i poezji polskiej. Wprost przeciwnie czuje się pełnoprawnym dziedzicem jej wielkiej tradycji i kontynuatorem dzieła Jana Kochanowskiego, Sępa - Szarzyńskiego, Macieja Sarbiewskiego, szczególnie zaś Adama Mickiewicza. W odczycie wygłoszonym w Akademii Szwedzkiej 8 grudnia 1980 roku powiedział: „Każdy poeta zależy od pokoleń, które pisały w jego rodzinnym języku, dziedziczy style i formy wypracowane przez tych, co żyli przed nim. Równocześnie jednak czuje, że te dawne sposoby wypowiedzi nie są dostosowane do jego własnego doświadczenia. Adaptując się, słyszy w sobie głos, który go ostrzega przed maską i przebraniem. Buntując się, popada z kolei w zależność od swoich rówieśników, od przeróżnych kierunków awangardy. Niestety wystarczy, że wyda pierwszy tom wierszy, a jest już schwytany. Gdyż ledwo obeschnie farba drukarska, to dzieło, które wydawało mu się czymś najbardziej własnym, ukazuje mu się jako uwikłane w styl, jako zależność. Jedynym sposobem na niejasny wyrzut sumienia jest szukać dalej i wydać nową książkę, po czym wszystko się powtarza i nie ma końca tej pogoni".[4]

Dwa dni później w przemówieniu noblowskim mówił: „Przyjmuję to najwyższe odznaczenie, pamiętając o wszystkich mężczyznach i kobietach, dla których jestem nie tyle jednostką, ile głosem i kimś, kto należy do nich. Oni to powinni być tutaj przywołani, a pochodzą nie z jednego tylko kraju. W pierwszym rzędzie myślę o tych, którzy przywiązani są do polskiego języka i literatury, gdziekolwiek mieszkają, w Polsce czy za granicą; myślę również o mojej części Europy, o krajach położonych między Niemcami i Rosją, w których jutro wolności i godności wierzę; a szczególnie moje myśli zwracają się ku krajowi, gdzie się urodziłem,

4 *Pamiętnik Literacki*, Londyn 1981, tom IV, str. 16.

Litwie. Co więcej, ponieważ od dawna żyję na wygnaniu, mogę być słusznie uznany za swego przez tych wszystkich, którzy musieli opuścić swoje wioski i prowincje, czy to z powodu nędzy czy prześladowań, i adaptować się do nowych sposobów życia; jest nas na całej Ziemi miliony, bo to jest wiek wygnania. (...) Jestem częścią polskiej literatury, która jest względnie mało znana w świecie, gdyż jest niemal nieprzetłumaczalna. Porównując ją z innymi literaturami, mogłem ocenić jej niezrównaną dziwaczność. Jest to rodzaj tajnego bractwa mającego własne obrzędy obcowania z umarłymi, gdzie płacz i śmiech, patos i ironia współistnieją na równych prawach. Przejęta historią, zawsze aluzyjna, w tym stuleciu tak jak dawniej towarzyszyła ludowi w jego ciężkich przejściach. Linie polskiego wiersza krążyły w podziemiu, były pisane w barakach koncentracyjnych obozów i w żołnierskich namiotach, w Azji, Afryce i w Europie. Reprezentować tutaj taką literaturę znaczy czuć się pokornym wobec świadectw miłości i poświęcenia zostawionych przez tych, którzy już nie żyją"[5] (p. m.). Nic dziwnego, że jak pisały szwedzkie gazety, oczy uczestników tej uroczystości zwrócone były na mówcę, a ich myśli kierowały się ku Polsce i ku rozgrywającemu się w niej dramatowi. W sali znajdowali się wszyscy bohaterowie tego dramatu. Oficjalną Polskę reprezentował jej ambasador, za którym można było dojrzeć jego sowieckiego kolegę, a niedaleko w pierwszym rzędzie siedzieli goście poety - bojownicy o wolne słowo, o własne, demokratyczne i niezawisłe państwo.

Autor tego przemówienia, które trafnie nazwano hymnem ludzkiej solidarności, już w „Toaście" napisanym w 1949 roku jasno sprecyzował zadanie swojego życia i pozostał mu wierny do dzisiaj, chociaż takiej pozycji, jaką zajął na Parnasie, nie przewidywał w najśmielszych marzeniach:

W służbie polskiej poezji żyć postanowiłem
Choćby przyszło mi zostać nieznaczącym pyłem
Na tej górze, skąd idą nieśmiertelne błyski.

---

5 *Pamiętnik Literacki*, Londyn 1981, tom IV, str. 13/14.

Trudniej, myślę, ją zdobyć niż paszport brytyjski.

Istotę tej poezji zwięźle ujął sekretarz Szwedzkiej Akademii, Lars Gyllenstein- „Miłosz jest poetą wybitnie intelektualnym, o głębokiej wiedzy filozoficznej i historyczno - literackiej. Jego poezja pełna jest podtekstów, pastiszów, ironii, zmian stylu i ról, polifoniczna w swej budowie. A jednocześnie jest on poetą zmysłowym.(...) Obrazowość języka Miłosza, sugestywna i zaskakująca, zrodzić się mogła jedynie dzięki jego własnym doświadczeniom, jego bogatej wyobraźni, pamięci, przeżyciom. Pierwiastki intelektualne idą w parze u Miłosza z wyjątkową zdolnością postrzegania i wyjątkową wrażliwością poetycką".[6] Jest to poezja kontemplacji bytu i bólu istnienia. Rzeczywistość i jej bogactwo fascynuje poetę, zachwyca, budzi podziw, ale i onieśmiela, a czasem przeraża, bo bywa źródłem nazbyt bolesnych i nie zawsze wyrażalnych przeżyć. Sam poeta tak to ujął:

Powiedz mi, czy to słuszne, że ja się tak trwożę
O rzeczy, z których inni bez żalu się śmieją.
Gdzie oni widzą kroplę, ja tam widzę morze
I gdzie idą ze śpiewem, ja tylko z nadzieją.[7]

Nie ma drugiego poety tak zasłużonego w udostępnianiu i upowszechnianiu literatury polskiej na kontynencie amerykańskim jak Czesław Miłosz. Wydał nie tylko antologię poezji polskiej w języku angielskim, napisał w tym języku syntezę dziejów literatury polskiej od jej narodzin do wybuchu drugiej wojny światowej (1969), przełożoną na język polski przez Marię Tarnowską i wydaną przez Znak (1993) pt. „Historia literatury polskiej do roku 1939". O literaturze polskiej mówił na spotkaniach autorskich i uczynił ją przedmiotem rozważań w czasie swoich seminariów i wykładów uniwersyteckich. Wielu Amerykanów, nie tylko polskiego pochodzenia, pod jego wpływem zaczęło się nią interesować. Dziekan Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich Uniwersytetu Kalifornijskiego w roku 1980 stwierdził: „Słuchałem jego wykładów z ogromną przyjemnością. Miłosz

6 *Pamiętnik Literacki*, Londyn 1981, tom IV, str. 10/11.
7 (II, 20)

był wielokrotnie nagradzany, ale przede wszystkim jest on ambasadorem kultury polskiej w naszym kraju, wśród studentów i całego amerykańskiego społeczeństwa".[8] Warto pamiętać, że to dzięki przekładom Czesława Miłosza utworów poetyckich Zbigniewa Herberta na język angielski, poeta ten stał się tak popularny w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli ma rację Maria Konopnicka, a wydaje się, że nikt, kto przez chwilę się nad tym zastanowi, trafności jej sądu nie zakwestionuje, że tylko poeta może przed czytelnikiem najszerzej otwierać drzwi do stworzonego przez innego poetę świata i skutecznie pośredniczyć pomiędzy zawartymi w nim wartościami i ich odbiorcami, to i w tej dziedzinie zasługi Miłosza są niepodważalne. Bez jego książki „Jakiegoż to gościa mieliśmy" (1996), prezentującej twórczość Anny Świrszczyńskiej i bez przypominania jej, poetka ta nie miałaby tylu wielbicieli, a może należałaby już do twórców zapomnianych. Poeta wiernie służył i służy mowie polskiej wbrew nawiedzającym go czasem wątpliwościom, czemu dał wyraz w 1968 r. w poniższych strofach:

Moja wierna mowo,
Służyłem tobie (...)

Trwało to dużo lat.
Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej.
Myślałem że będziesz także pośredniczką
pomiędzy mną i dobrymi ludźmi
choćby ich było dwudziestu, dziesięciu
albo nie urodzili się jeszcze.

Teraz przyznaję się do zwątpienia.
Są chwile kiedy wydaje się, że zmarnowałem życie.
Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może od innych narodów,

[8] Z taśmy magnetofonowej.

mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorych na własną niewinność (...)

Moja wierna mowo,
może to jednak ja muszę ciebie ratować.
Więc będę dalej stawiać przed tobą miseczki z kolorami
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,
bo w nieszczęściu potrzebny jest jakiś ład czy piękno.[9]

Młody czytelnik utworów Miłosza bardzo często już nie wie, że Polacy do roku 1980, a więc do czasu przyznania temu poecie Nagrody Nobla, byli oddzieleni od jego twórczości „murem milczenia", jak to lapidarnie i trafnie określił Krzysztof Karasek, ba, za czytanie wierszy autora „Zniewolonego umysłu" można było narazić się na różnego rodzaju szykany, stracić pracę, a nawet trafić za kratki. Warto zatem przypomnieć moje wcześniejsze spotkania z poezją Miłosza i ludzi, dzięki którym poeta ten nie był mi obcy.

To prawda, że wśród poetów, historyków literatury i krytyków byli i tacy, którzy zrażeni uporem władców polskiej prowincji sowieckiego imperium, którzy ten mur zbudowali i cenzorów, którzy go strzegli, wycofali się z walki i pogodzili się z podziałem literatury polskiej na krajową i emigracyjną. Pod wpływem jednak tych, którzy nigdy nie uznali tego podziału i nie przestali szukać szczelin w tym murze i dążyć do jego całkowitego zburzenia oraz wolnego słowa płynącego do Polski na falach radiowych, zaczęli przezwyciężać zniechęcenie i publikować swoje utwory w czasopismach i wydawnictwach polskich w Paryżu i w Londynie. Utwory te wracały do kraju najczęściej w formie żywego słowa, ale również w przemycanych przez granice czasopismach i książkach. W pracach z historii literatury i w antologiach coraz trudniej było pomijać takich poetów, jak Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń czy Józef Wittlin, którzy już w II Rzeczypospolitej cieszyli się zasłużonym uznaniem. Po drugiej wojnie światowej nie

9 (II, 20)

wrócili do zniewolonej Polski i z tego powodu byli skazani na zapomnienie. Temu werdyktowi podlegały również utwory Czesława Miłosza. Ich dostępu do czytelnika krajowego ze względu na rozgłos, jaki uzyskał „Zniewolony umysł" (1953), strzeżono szczególnie. Bano się także niektórych wierszy, bo można w nich znaleźć i takie strofy:

Moskal czołgami wjechał w gruzy miasta,
Prawa im dawał i wkładał obrożę.
Prowincja nowa w Imperium już wrasta
Niosąc w daninie węgiel, tłuszcz i zboże.

Przeklina lud, a błazny mu śpiewają
Że nigdy nie był tak jak dzisiaj wolny.
I szuka znaków co się w niebie palą:
Pokój służalstwa? Czy zagłada wojny?
Oni tymczasem, drżąc w jaskiniach cieni,
Sądzą, nie wiedząc że już osądzeni.[10]

Nawet nazwiska autora tego utworu nie wolno było wymawiać, a tym bardziej wymieniać go w książkach. Mimo to znany historyk i krytyk literacki Jacek Trznadel jeszcze przed przełomem 1970 roku, bo już w lipcu tego roku w wykładach na temat tendencji i kierunków współczesnej poezji polskiej, i to dla polonistów szkół średnich, wygłoszonych w Wołominie podkreślił, że ponieważ o „Miłoszu pisze się bardzo mało i bardzo rzadko", poświęci mu więcej czasu niż innym. Przywołując wiele utworów z „Ocalenia" wyeksponował nie tylko obecny w nich nurt katastrofizmu, ale i odpowiedzialności moralnej, stwierdzając, że poeta jest wierny przesłaniu: „Jesteś kamieniem na drodze lawiny, ale lawina też bieg od tego zmienia po jakich toczy się kamieniach".[11] Stanisław Grochowiak i Janusz Maciejewski w swojej antologii „Poezja polska" (1973) zamieścili utwory Miłosza z tomu wydanego w 1967 r. w Londynie, wśród nich często cytowany w latach 1980 - 1981 wiersz „Który skrzywdziłeś". Po roku 1976 wybory wierszy

10 (I, 319/20)
11 Notatki z wykładów prof. Jacka Trznadla.

Miłosza zaczęły się ukazywać poza cenzurą, w tak zwanym drugim obiegu. Jeden z takich wyborów udało mi się zdobyć.

Pod koniec lat siedemdziesiątych po powrocie ze Stanów Zjednoczonych Jacek Trznadel przyjechał do Siedlec i w klubie Wyższej Szkoły Pedagogicznej ponad godzinę czytał wiersze Czesława Miłosza. Zapytałem go wówczas, czy można oczekiwać, że przynajmniej te z czytanych przez niego utworów, które mają wartość ogólnoludzką, a więc i socjalistyczną, ukażą się w druku? Odpowiedział, że gdyby to od niego zależało, wszystkie by się ukazały. Do Komitetu Wojewódzkiego PZPR wpłynął donos, że żądałem wolności dla renegata politycznego, stąd w następnym dniu znalazłem się w gabinecie kierownika zakładu, w którym pracowałem. Odpowiadając na pytanie, dlaczego chodzę na tego rodzaju spotkania, poinformowałem go o swoich zainteresowaniach i wyraziłem zdziwienie, że już pytać nie wolno. Mój przełożony zadzwonił do KW i poinformował, że w wyniku rozmowy ze mną doszedł do wniosku, iż „kapusia należy wysłać do szkoły, bo niczego nie zrozumiał" (dosłownie). Przełożony ten nie tylko w tym przypadku zaimponował mi swoją odwagą, ale między innymi i wtedy, gdy do jednego z funkcjonariuszy partyjnych powiedział: „Nie zapominaj, że jesteś w zakładzie naukowym i możesz się tu czegoś nauczyć. Nie przyszedłeś chyba po to, żeby tu rządzić!"

Stąd gdy w 1980 roku Czesław Miłosz otrzymał Nagrodę Nobla i wiadomość ta do mnie dotarła, cieszyłem się jak dziecko. Najwcześniej zareagował, jak przystało na poetę, Krzysztof Karasek, który w Polskim Radio nadał audycję złożoną z utworów czytanych przez ich autora. Po raz pierwszy słuchałem głosu poety, któremu nie towarzyszyły dźwięki emitowane przez zagłuszarki. W następnym roku stałem kilka godzin w kolejce przed „Czytelnikiem", żeby kupić „Poezje" Czesława Miłosza. Kolejkę tę utrwalił Jan Kaczmarek:

> Stoję w kolejce, Panie Czesławie, bo Pańskie wiersze
> dowieźli (..)
> Kolejka wije się i zakręca i każdy na ladę zerka,
> Bo każdy myśli o Pana wierszach jak o świeżutkich

żeberkach (...)
Dali za mało, pewnie nie starczy, stąd nerwy i panika.
Jest propozycja, żeby sprzedawać na głowę po pół, może po ćwierć tomika (...)
Książek zabrakło, więc i kolejka się cicho rozeszła.
Nie ma w chałupie mąki czy kaszy, trudno, nie będzie też wieszcza.
Jutro w kolejce po przydział gazet znowu ustawię się grzecznie.
Tam czasem dają pańskie wierszyki takie, co bardziej bezpieczne (...).[12]

W czerwcu 1981 roku Czesław Miłosz odbył triumfalną podróż po Polsce. Był w Warszawie, w Lublinie, w Drohiczynie, w Łomży, w Gdańsku i w Krakowie. W Warszawie ówczesny prezes Związku Literatów Polskich, Jan Józef Szczepański wręczył poecie legitymację, podkreślając, że nigdy nie został on skreślony z listy członków tej organizacji, ani z niej nie wystąpił. Przyjmując ją, autor „Zniewolonego umysłu" powiedział: „Przez trzydzieści lat, spędzonych za granicą, uważałem siebie za członka wspólnoty literatów polskich. Śledziłem wszystko, co wartościowego powstaje w kraju. Czułem się dumny z wartościowych książek. Czułem się przygnębiony, dręczony nawet przez głupstwa i obrzydliwości, które niekiedy nasi koledzy pisali. Jako profesor literatury polskiej za granicą wykładałem współczesną literaturę polską, tłumaczyłem polską poezję na język angielski. Wydaje mi się, że ta legitymacja mi się należy i zobowiązuje".[13]

W Lublinie 11 czerwca otrzymał dyplom doktora honoris causa, nieformalnie przyznany mu przez Katolicki Uniwersytet Lubelski przed Nagrodą Nobla. Promotor doktoratu prof. Irena Sławińska powiedziała wówczas między innymi: „Dzień dzisiejszy wpisuje Czesława Miłosza formalnie i uroczyście w dzieje naszej Uczelni. (...) Był on zawsze potrzebny, nam społeczności akademickiej i nam narodowi. Potrzebny na różnych

12 Z taśmy magnetofonowej (także 13, 14, 15).

zakrętach naszych historycznych dróg. W okresie myśli w obcęgach jego słowo prawdy gniewne i gorzkie zdzierało maski kłamstwa, groziło oszustom, <którzy skrzywdzili człowieka prostego>. Syczała w nim wówczas ironia, ta chluba niewolnych, a teraz jasne i czyste słowo to mówi do nas wersetami „Psalmów".[14] W pięknym przemówieniu poety, wygłoszonym podczas tej uroczystości znalazły się i takie słowa: „Medytując nad nieprawdopodobnymi losami ludzi, miast i krajów, zdumiewałem się, że tak mało z tragedii mego stulecia znalazło wyraz w słowie, a jeżeli, to tylko w okruchach wypaczających rzeczywistość. Rzeczywistość piętrzyła się nade mną i piętrzy niby olbrzymia góra, której nie można wzrokiem ogarnąć. Również ta rzeczywistość codziennego dnia w Polsce, utrzymywana nadludzką niemal cierpliwością i rozwagą całej naszej wielkiej wspólnoty. Zdaje mi się chwilami, że potrafiliby zamknąć w słowie tę wielkość tylko ci, których nie ma, których jestem następcą. Bo nieobecność wielu ludzkich istnień, milionów, jak w Polsce, zabranych przez śmierć zanim się spełnili, nie może nie zmieniać historii i kraju, i jego literatury. Stąd myśl, że piszę zamiast nich, zamiast lepszych ode mnie i bardziej utalentowanych".[15] Temu przekonaniu o *niewspółmierności* literatury w stosunku do rzeczywistości, jej bogactwa, obfitości i okrucieństwa poeta da wyraz w niejednej swojej wypowiedzi.

W Warszawie, w Lublinie i w Krakowie spotkał się ze studentami. W słynnym klubie studenckim „Stodoła" czytał swoje utwory i odpowiadał na pytania, w Krakowie z humorem opowiadał o swoich przygodach studenta i profesora. Dwudziestoletnie doświadczenie dydaktyczne na stanowisku profesora literatur i języków słowiańskich w Berkeley sprawiło, że w środowisku studenckim czuł się nad wyraz swobodnie, imponował nie tylko wiedzą, oryginalnymi odpowiedziami na stawiane pytania, ale i talentem pedagogicznym. Wziął udział w spotkaniu z kolegami i przyjaciółmi, wśród których byli i żagaryści oraz w konferencji, w czasie której zastanawiał się nad tym, *jak być poetą na wygnaniu*. Odwiedził kolebkę „Solidarności" - Stocznię Gdańską.

W wyniku operacji wojskowej podjętej 13 grudnia 1981 roku przeciwko NSZZ „Solidarność" przez kilka lat można było usłyszeć poetę tylko w rozgłośni polskiej RWE. Przed jej mikrofonami wyraził przekonanie, że pomysł wprowadzenia stanu wojennego nie mógł narodzić się w Polsce, jego celem bowiem było *zachowanie posiadłości kolonialnej*. Stwierdził, że *zabito nadzieję*, ale tylko na pewien czas, bo zawsze się ona odradza. Poinformował o swoim przemówieniu wygłoszonym w czasie obrad francuskiego Pen - Clubu i wyraził radość, że francuska opinia publiczna zgodnie z odradzającą się tradycją lat trzydziestych XIX wieku tak zdecydowanie i powszechnie, jak żadna inna, opowiedziała się po stronie Polski, wyrażając swoją solidarność z „Solidarnością" i potępiając dyktaturę wojskową. Zapowiedział, że nie będzie nakładał na siebie żadnych hamulców po to, żeby być drukowanym i wydawanym w kraju, bo pogodził się z rolą *wieszcza obrotowego*, jak pomysłowo nazwał dzieje recepcji swojej poezji w PRL.

Od roku 1989 znów jest wśród nas. Na progu III Rzeczypospolitej, w październiku tego roku rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w obecności jej premiera, Tadeusza Mazowieckiego, wręczył poecie dyplom doktora honoris causa najstarszej uczelni polskiej. Od tego czasu często przyjeżdża do Polski, spotyka się ze swoimi czytelnikami, wygłasza odczyty i wykłady. Warto odnotować, że w Uniwersytecie Jagiellońskim w 1994 roku wygłosił wykład inauguracyjny, a przed kamerami TVP w 1999 roku nakreślił oryginalny obraz literatury polskiej XX wieku. Udziela wywiadów, w których wyraża pragnienie zachowania prawa do prywatności i konsekwentnie broni się przed wpisywaniem go w rolę wieszcza narodowego. Ze szczególną radością czyta ballady A. Mickiewicza, bo tylko w Polsce ich odbiór spotyka się z tak żywą reakcją słuchaczy. Ogłasza nowe tomiki swoich wierszy [„Kroniki" (1988), „Dalsze okolice" (1991), „To" (2000)], eseje i zbiory prac źródłowych, wśród nich tak cenne, jak „Zaraz po wojnie korespondencja z pisarzami 1945 - 1950" (1998). Godzi się zwrócić uwagę na uhonorowanego Nagrodą Nike „Pieska przydrożnego" (1997), „Abecadło Miłosza" (1997) i „Inne

abecadło" (1998). Ku zadowoleniu swoich czytelników w dziewięćdziesiątym pierwszym roku życia nie tylko pisze utwory poetyckie i znakomicie czyta je przed kamerami telewizyjnymi, wzbogacając poezję polską, ale bacznie obserwuje życie literackie i żywo reaguje na wszystko, co się w nim dzieje. Ostatnio w „Tygodniku Powszechnym" (nr 21) mogliśmy przeczytać jego „Żal po Pawle Hertzu", poecie, eseiście i niezwykle zasłużonym dla kultury polskiej edytorze, z gniewną, ale w pełni uzasadnioną wymówką , skierowaną pod adresem *barbarzyńców z telewizji*, którzy nie zauważyli śmierci tego wielkiego Polaka i piękny esej o jego poezji pt. „Rozumny obrońca klasycznego rymu" (nr 32). W „Dekadzie Literackiej" (nr 5/6) opublikował interesujące wspomnienie - „Mój Wittlin", zawierające kilka pikantnych szczegółów dotyczących Juliana Tuwima.

Z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin poety ukazały się monograficzne numery czasopism literackich - „Zeszytów Literackich" (75) wraz z dodatkiem: „W hołdzie Czesławowi Miłoszowi" i poświęcone poecie „Teksty Drugie" (nr 3/4). W pierwszym z tych czasopism zamieszczone zostały wypowiedzi o poecie jego przyjaciół i kolegów, w tym również skamandrytów, poetów i to nie tylko polskich (m.in. Tomasa Venclowy, Josifa Brodskiego i Seamus'a Heaney'a), krytyków literackich, filozofów i dziennikarzy. Wśród dokumentów godzi się zwrócić uwagę na listy Czesława Miłosza do Józefa Wittlina , Konstantego A. Jeleńskiego do Miłosza i list Prymasa Tysiąclecia - *Do świadków promocji doktorskiej Laureata Nagrody Nobla, Czesława Miłosza na ręce Jego Magnificencji Ojca prof. dra Mieczysława Alberta Krąpca, Rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.* „Teksty Drugie" dedykowane poecie zawierają referaty wygłoszone w czasie poświęconej jego twórczości konferencji, która odbyła się w Instytucie Badań Literackich 17 i 18 kwietnia tego roku. Zostały one wzbogacone przez redakcję tego czasopisma dodatkowymi artykułami. Ze szczególnym zainteresowaniem przeczytałem artykuł poety, krytyka literackiego i profesora Uniwersytetu Wrocławskiego Jacka Łukasiewicza pt. „Poeta o poetach".

Nie mniej interesujący jest „Szkic do portretu artysty z czasów starości" Elżbiety Kiślak, autorki głośnej w ubiegłym roku książki - „Walka Jakuba z aniołem. Czesław Miłosz wobec romantyczności", analizując ostatnie wiersze autorka docieka relacji między życiem poety i jego twórczością. Aleksander Fiut, który zredagował i wydał w tym roku drugą część książki - „Poznawanie Miłosza" (zawiera obszerną bibliografię przedmiotową), w „Tekstach" mówi o przyjaźni poety z Juliuszem Tadeuszem Krońskim („W objęciach Tygrysa"). Godne uważnej lektury są również - artykuł Zdzisława Łapińskiego - „Miłosz <zaraz po wojnie>" i „Uparte trwanie baroku" - Jana Błońskiego, dociekliwego krytyka literackiego, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, autora fascynującej książki pt. „Miłosz jak świat" (1998). Z pozycji feministek analizuje utwory poety Anna Nasiłowska w szkicu „Kobiety w poezji Czesława Miłosza". Nie sposób wymienić wszystkich ciekawych wypowiedzi, które można znaleźć w tych czasopismach. Czytelnik, który po nie sięgnie, nie tylko poszerzy i pogłębi swoją wiedzę o Miłoszu i jego twórczości, ale i przeżyje pewnego rodzaju przygodę intelektualną.

Kończąc relację o moich spotkaniach z poezją Czesława Miłosza i związane z nimi refleksje, pragnę wyrazić nadzieję, że przestanie się ślimaczyć wydawanie „Dzieł wybranych poety", wśród których planowane są wznowienia rozmów z poetą Renaty Garczyńskiej - „Podróżny świata" (1992) i Aleksandra Fiuta - „Autoportret przekorny" (1988), autora monografii - „Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza" (1999).

Bajka o raju

Za siedmioma czarnymi dziurami,
za siedmioma galaktykami
był sobie świat,
którego nie stworzył żaden Bóg.

Nie było tam wojen,
nie słyszano o zbrodniach,
nikt nie zaznał tam nigdy cierpienia...
I nikt nie widział człowieka.

Pokłon dla wrogów

Skończył się wyścig. Poczekaj na wrogów,
póki ci jeszcze ręce nie opadły.
Nic tak ważnego jak oddech na plecach,
dlatego okaż im teraz szacunek.
- Wrogowie moi - przemów do nich czule,
goszcząc wystawniej od wiernych przyjaciół -
dziękuję ja wam za upór i trwanie
przy swoim, chociaż z widokiem przegranej.
Pomyśl, gdzie byłbyś, gdyby cię głaskano,
kładąc narkotyk pochlebstwa przy winie.
Dlatego ukłoń się wrogom głęboko
i proś: - Zostańcie, póki jestem z wami.

Powoli

Powoli wszyscy porośniemy korą
jak ryba łuską,
ucząc się milczenia
wody wielkiej i czystej.

Powoli odpłyną
karawany pamięci
i żadna mewa
nie okrzyknie morza.

A czas niebawem zamilknie
wierniej od kamieni,
które pokrywają nasze ślady
zielonym rumieńcem.

Synku

Będziesz się czołgał
zanim nauczysz się chodzić
bo jest w tobie krew żołnierzy
i wyjętych spod praw banitów

Zanim postawisz pierwszy krok
będziesz raczkował
i błagał
każdą stołową nogę
by pomogła wstać z kolan

Kiedy nauczysz się chodzić
i odepchniesz matczyną dłoń
znów będziesz musiał
zginać kolana
zginać kark
jak pozbawiony praw banita
i czołgać się
nie zawsze jak żołnierz

Znów będziesz musiał
prosić
błagać
żebrać
wstawać z kolan
choć nikt nie kiwnie palcem

Będziesz musiał
nauczyć się
mojej nieobecności

***

jesteśmy czasami jak ptaki
które lecą nie wiedząc
że ta gwiazda - o tam - to Syriusz
a ziemia pod nimi to Polska
jesteśmy czasami jak ptaki
nie znamy imion nazw dat
a całą mapę
drogi rzeki mosty i ludzi
mamy tu w sercu w skrzydłach
które czasami nam wyrastają
- nie wiemy dokąd zmierzamy i po co
ale czujemy iż tak właśnie iść trzeba
jesteśmy czasami jak...
spójrz na tego Człowieka
o zielononiebieskich oczach
nie wiesz że to Jego właśnie szukasz
że to do Niego jedziesz setki kilometrów
że to On śni ci się po nocach
jesteśmy czasami jak...

***

prosisz o wiersz
a ja nie wiem
rozpalam dopiero ogień
jeszcze nie zaczęło się stawać
jest zbyt mocny wiatr
i niewiele słychać
jeszcze nie wiem
i nie widzę nigdy jak przychodzi

potem już
myśl powoli dotyka papieru
otwierając słowa

wybiegnij więc w prostocie
naprzeciw nich
tam gdzie tajemnica
to co najskrytsze twoje
by się spotkać odnaleźć trzeba
latarnię morską
osłonić ręką kołyszący się
niebezpiecznie płomień
wybiegnąć poza siebie poza wiem
to daleko tak i tak blisko

***

jeszcze raz dam sobie szansę
rozwinę dywan rzekę ścieżkę
przyzwolę na niepewność nocy
na poranną pomyłkę dzwoniącego telefonu

pozbieram siebie
rzeczy dni radości
zdania zbyt krótkich wyjaśnień...
sięgnę po kubek z dotykiem spokoju
nachylę brzegi naczynia
zwilżając spierzchnięte łupiny warg
nim zetknę je z pyłem zewnętrzności
zapatrzę się w siebie
jak w stepy Azji

powitam wyłaniane z niepostrzegania
nieznaczne drżenie
wiolinowych strun wiary
kilka kresek niedostępnego jeszcze
ale już blisko...

to będzie pukanie do drzwi
spodziewające się rozbicia duszących brył
pieczenie podeszew stóp
i naprawianie wyłamanych szczebli
drabiny wstępującego przebudzenia

Czas umierać - początek tematu

Ani

Czas umierać
kiedy piękna dziewczyna
pyta cię o wiek

Wydymasz wargi
chowasz figlarne kropeczki uśmiechu
...dziesiąt

Aha!

Czas umierać
kiedy świat przyspiesza
a z każdego dnia pamiętasz tylko
bosą podłogę poranka

No i co?
Co miałeś na myśli?

Czy jeszcze pamiętam...

Aha!

Czas u... uśmiechnij się jutro będzie lepiej

Czas umierać - rozwinięcie tematu

Sobie

Czas umierać
kiedy piękna dziewczyna
mimochodem
tak dla podtrzymania rozmowy
zapyta cię o wiek
Och!
Zawieszasz głos
i lekko naciągając nastrój naciskasz guziczek pamięci
No cóż...

Wydymasz wargi
chowasz figlarne kropeczki uśmiechu
palcami kreślisz na blacie kunsztowne arabeski
wahasz się między
...dzieści dziewięć a
...dziesiąt jeden
A niech tam...
...dziesiąt i jeden
mruczysz bohatersko choć
te pięć zabrzmiało tak cicho
jak lot zmęczonej ważki.

Przerażone niedowierzanie
Rzeczywiście?
Świetnie pan wygląda!
Przeżyłeś - prawda?

Ale tak naprawdę
czas umierać
kiedy świat tak przyspiesza,
że z każdego dnia pamiętasz tylko bosą podłogę poranka.
Dni zlewają się w jeden ciąg
    Zmartwychwstanie - umieranie
    Zmartwychwstanie - umieranie

Czas umierać?
to prowokacja
bo warto żyć
póki jeszcze piękna dziewczyna ma ochotę
nawet mimochodem
tak dla podtrzymania rozmowy
zapytać cię o wiek

Panu Garcii Lorce

Nad brzegiem Monzangres grupa wyrostków
naśmiewała się ze starszego pana spacerującego po pomoście
biała panama,
biała marynarka
białe sztylpy...
Jaki śmieszny biały brzuszek...
Parasol ze srebrną skuwką wycelowany
wskazał na mnie
Ty Pedro - powiedział - będziesz złodziejem...
Ty śmieszku - będziesz łajdakiem
Ty Garcia będziesz najgorszym z nich...
będziesz poetą...

czerwiec 2001 r.

Błazen czy kapłan? Gombrowicz wobec polskości

Rzeczywistość literacka jest światem na tyle skomplikowanym, że naturalne wydaje się stosowanie rozmaitych klasyfikacji i etykiet, umożliwiających elementarną choćby orientację w gąszczu zjawisk i procesów. Dzieje się to oczywiście kosztem generalizacji i uproszczeń, które niekiedy w cień usuwają swoistość poszczególnych dzieł czy niepowtarzalność osobowości twórczych.

Wydaje się, że ofiarą tej tendencji (koniecznej, nie mamy co do tego złudzeń) pada Witold Gombrowicz. Jest to przejaw szczególnej ironii losu, zważywszy, że to właśnie on wypowiedział wojnę schematom i formom, narzucanym nam przez świat zewnętrzny, przez „nie-ja". A jednak - stało się! Do twarzy autora „Ferdydurke" przyrosła groteskowa maska, przyprawiliśmy mu gębę, wykrzywioną w dziwacznym grymasie błazna, obrazoburcy, prowokatora. I w grobie się chyba Gombrowicz przewraca, gdy jego dzieło, które miało tętnić wewnętrznym życiem i opalizować znaczeniami, umiera w ciasnych formułach szkolnych wypracowań i tematów lekcji. Mówię, bom smutny i pełen winy - sam jestem belfrem. Pamiętam jednak o przestrodze, zamieszczonej na kartach „Dziennika":

„Wiedzcie, że o mnie nie wolno mówić w sposób nudny, zwykły, pospolity. Zabraniam tego stanowczo. Domagam się - o sobie - słowa odświętnego. Tych, którzy pozwalają sobie mówić o mnie nudno i rozsądnie, karzę okrutnie: umieram im w ustach i oni mają w swoim otworze gębowym pełno mojego trupa".[1]

O przenikliwości umysłu Gombrowicza świadczyć może fakt, że zdawał on sobie doskonale sprawę z tego procesu, widział, jak powoli zastyga w raz na zawsze określonym kształcie. Ostatnie akapity „Testamentu" (wcześniej wydawanego jako „Rozmowy z Gombrowiczem" Dominique'a de Roux) zdradzają dramatyczną

1 W. Gombrowicz, *Dziennik 1953-1956*, Kraków 1989, s. 116. We wszystkich cytatach zachowałem oryginalną interpunkcję.

świadomość przeobrażania się egzystencji w esencję:

„Ale ja? Czy zdołam zbuntować się jeszcze raz, na stare lata, tym razem przeciw niemu, Gombrowiczowi? Wcale nie jestem tego pewny.[...] Odrzucić precz Gombrowicza, skompromitować go, zniszczyć, tak, to byłoby ożywiające... ale najtrudniej walczyć z własną skorupą".[2]

Walka o podmiotowość artysty nadaje dziełu Gombrowicza arcyludzki wymiar. To tylko na pozór brzmi jak banał. W Gombrowiczowskiej antropologii życie oznacza nieustanne stawanie się i zachowywanie dystansu w stosunku do chwilowych kształtów rzeczywistości. Wydaje się, że idealną symboliczną syntezą życia i twórczości autora „Ślubu" jest obraz Heraklitejskiej rzeki, która jest i nie jest sobą, zmienia się i pozostaje niezmienna. Przecież sam Gombrowicz powiedział: „sprzeczność, która jest śmiercią filozofa, jest życiem artysty".

Szczególnie trwały i ekspansywny jest stereotyp Gombrowicza jako burzyciela mitów narodowych i nieprzejednanego krytyka polskości. Nie ma sensu zaprzeczać - obraz ten można zilustrować wieloma przykładami. Niektóre z nich są wyjątkowo sugestywne i niosą niezwykle silny ładunek emocjonalny. Przywołajmy choćby bohatera „Trans-Atlantyku", który w sierpniu 1939 roku schodzi w Argentynie z pokładu „Chrobrego" i w odpowiedzi na patriotyczne nastroje, panujące wśród Polaków, wygłasza bluźnierczy monolog:

„Wtenczas na kolana paść chciałem! Jednakowoż wcale nie padłem, a tylko tak z cicha Bluźnić, Wyklinać silnie, ale do siebie samego, zacząłem: - A płyńcież wy, płyńcież Rodacy do Narodu swego! Płyńcież wy do Narodu waszego świętego chyba przeklętego! Płyńcież do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha a zdechnąć nie może! Płyńcież do Cudaka waszego św., od Natury całej przeklętego, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony" .[3]

Siłę prowokacji wzmacnia kontekst biograficzny utworu. Wiemy przecież, że Gombrowicz w sierpniu 1939 roku wziął

2 W. Gombrowicz, *Testament*, Warszawa 1990, s. 106.
3 W. Gombrowicz, *Trans-Atlantyk*, Kraków 1988, s. 12.

udział w inauguracyjnym rejsie „Chrobrego" z Gdyni do Buenos Aires. Niewielu jednak pamięta, że po wybuchu wojny autor „Ferdydurke" zgłosił się jednak do polskiego poselstwa w Argentynie, deklarując chęć powrotu do Europy. Z powodu złego stanu zdrowia musiał jednak pozostać w Ameryce Południowej. Komisja poborowa uznała go za niezdolnego do służby wojskowej. Tymczasem Witold Gombrowicz, bohater powieści, jest konsekwentnie kreowany na dezertera.

W tym samym utworze odnajdziemy scenę, która w groteskowy sposób ukazuje polskie cierpiętnictwo i osobliwy patriotyczny masochizm. Bohater został podstępnie ugodzony przez Pyckala ostrogą, stracił przytomność i ocknął się w upiornej piwnicy wśród szalonych Kawalerów Ostrogi. Łączy ich Ból - zarówno psychiczny, jak i fizyczny. Kłębowisko sczepionych ostrogami ciał wypełniających przestrzeń piwnicy (Freudowska podświadomość?) to nośna metafora losu narodu, zdeterminowanego przez świadomość historycznych klęsk i nieszczęść. Próba ucieczki z więzienia karana jest wbiciem ostrogi, każdy zatem jest jednocześnie katem i ofiarą, torturującym i torturowanym. Wizja to zaiste przerażająca:

„[...] i znów Ostrogi cios, znów ból, męczarnia! I już prawie nie do wiary było, już w głowie się nie mieściło, głównie za dnia: bo drzwi do piwnicy tylko na haczyk zamknięte i tylko wstać dwa kroki dać, wyjść na słonko, na swobodę, o Boże, Boże, po cóż tu siedzimy, o Boże, Boże, przecie wszyscy wyjść chcemy".[4]

„Wyzwolić Polaka z Polski" - tak w Przedmowie do „Trans-Atlantyku" streszcza Gombrowicz swój program ideowy. Przykłady podobnych prowokacji można by mnożyć. Przypomnijmy tu choćby rozrachunek z kultem wieszczów w „Ferdydurke", bluźnierczy tytuł „Pornografia", nadany powieści, której akcja toczy się w okupowanej Polsce, parodię sceny poloneza z „Pana Tadeusza" na ostatnich stronach „Trans-Atlantyku" czy słynne określenie Sienkiewicza mianem pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego.

---

4 W. Gombrowicz, *Trans Atlantyk*, op. cit., s. 105.

Rola błazna, szargającego narodowe świętości, wydaje się jedną z ulubionych autokreacji Gombrowicza.

Cóż jednak począć z zaskakującą deklaracją: „Trans-Atlantyk" to utwór najbardziej patriotyczny, i najodważniejszy, jaki kiedykolwiek napisałem"[5]? Czyżby kolejny grymas i przedrzeźniająca mina? Sprawa nie przedstawia się tak prosto. Zbyt często, można by rzec wręcz obsesyjnie, w wypowiedziach Gombrowicza powraca kwestia jego wizji (czy raczej projektu) polskości. W liście do Czesława Miłosza napisał:

„Atakuję formę polską, ponieważ to jest moja forma... i ponieważ wszystkie moje utwory pragną być w pewnym sensie [...] rewizją stosunku współczesnego człowieka do formy".

Podkreślmy: „to jest moja forma". Gombrowiczowską koncepcję polskości najcelniej wyrażają słowa cytowanej już „Przedmowy..."[6]

„Jeżeli w „Trans-Atlantyku" daje się słyszeć [...] pewien niedopuszczalny dotąd ton w stosunku do Polski - niechęć, lęk, szyderstwo, wstyd - to dlatego, że utwór pragnie bronić Polaków przed Polską, wyzwolić Polaka z Polski... sprawić, aby Polak nie poddawał się biernie swojej polskości, ale właśnie potraktował ją z góry. [...] A teraz dalsze pytania: czy ja, broniąc Polaków przed Polską, jestem, czy nie jestem patriotą? Czy myśl wyłożona powyżej, w ostatecznych swoich następstwach wzmacnia czy osłabia naród? Bo przecież Polska składa się z Polaków... Cóż wart jest naród złożony z ludzi sfałszowanych i zredukowanych?".[7]

Zastanówmy się: czy „potraktowanie z góry" polskości oznacza jej zakwestionowanie? Autor „Ślubu" wielokrotnie postulował „re-formę" wszelkich form, co nie jest jednak tożsame z ich odrzuceniem, gdyż człowiek zawsze wyraża się w jakimś kształcie, poza formą zatem nie istnieje - w sensie ludzkim, rzecz jasna. A zatem i forma Gombrowicza jako pisarza jest z gruntu polska, ale przetworzona, poddana ożywczej kuracji parodii, dystansu, śmiechu. Przypomnijmy schemat fabularny „Trans-Atlantyku":

5 W. Gombrowicz, *Dziennik*, op. cit., s. 162.
6 Ibidem., s. 28.
7 W. Gombrowicz, *Trans-Atlantyk*, op. cit., s. 139-140.

sposobem na przezwyciężenie polskości jest bluźnierczy plan zastąpienia Ojczyzny - Synczyzną. Gdyby utwór zakończył się zwycięstwem tej ostatniej, być może moglibyśmy stwierdzić, że forma narodowa została rozbita i zniszczona. Tak jednak nie jest. Ignacy, który miał zabić ojca, nagle się uchyla i wybucha zaraźliwym śmiechem. Polski kształt został przezwyciężony, ale jednocześnie ocalał - w nowej, świeżej postaci.

O głębokim zakorzenieniu Gombrowicza w polskiej tradycji literackiej świadczy bardzo wiele. Potężne partie „Dziennika" poświęcone są krytycznym analizom twórczości Mickiewicza, Sienkiewicza, Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Lechonia, Tuwima, Witkacego, Schulza. Wyłania się z nich bardzo osobista wizja historii naszej literatury, w której werdykty i oceny zależą tylko i wyłącznie od arbitralnej decyzji autora. Zwróćmy jednak uwagę na zastanawiający paradoks: wzorzec takiej postawy, lekceważącej przyjęte hierarchie i mody, podsunął Gombrowiczowi arcypolski sarmatyzm. Kto wie, czy figura Sarmaty nie jest najnośniejszym z pomysłów literackich autora „Ferdydurke". Przecież Witold, bohater „Trans-Atlantyku", to ucieleśnienie szlacheckiej dumy, niezależności i sobiepaństwa. Te cechy tradycji sarmackiej, które w XVII i XVIII wieku doprowadziły do kompletnej anarchii w państwie i do jego upadku, teraz, w wieku XX, pozwalają na przywrócenie właściwych relacji pomiędzy jednostką a narodem. Mroczny, ponury, a jednocześnie barwny i urzekający przepychem sarmatyzm jest jedną z tych kart historii naszej kultury, o której - według Gombrowicza - zbyt rzadko myślimy, o której nie chcemy pamiętać. Tymczasem tkwi w nim to, co znamionuje intensywne życie i wielką literaturę: ból, groza, wolność i śmiech. W Przedmowie do „Trans-Atlantyku" z 1951 roku czytamy:

„I możecie oglądać tutaj, jak zadawnione formy Przeszłości waszej, jak ten ociężały, niezgrabny Sarmatyzm, wijąc się w śmiertelnych zapasach pod razami wroga, usiłuje zjednać sobie niechętną naturę"[8].

8 W. Gombrowicz, Ibidem., s. 134.

W „Testamencie" postać prowincjonalnego szlachcica staje się znakiem stosunku Gombrowicza do kultury europejskiej:

„[...] ja tak po kulturze spaceruję, jak szlachcic po sadzie na swoim folwarku i próbując gruszki, albo śliwki, mówię: ta dobra, a ta nie smakuje...

[...] Mógłbym określić siebie jako szlachcica polskiego, który odkrył swoją rację bytu w tym, co nazywam dystansem do formy (więc i kultury). Szlachcic polski - zjawisko nieco anachroniczne - nie cieszy się na ogół sympatią świata. Tym lepiej! W to mi graj! Pokażę, jaką siłę może mieć szlachecka krytyka wartości!"[9].

Polski szlachcic to rola kłócąca się ze stereotypem awangardowego artysty, prowokatora i obrazoburcy. W swym rewolucjonizmie jest Gombrowicz zaskakująco konserwatywny. Obraz jego dzieła skomplikuje się jeszcze bardziej, gdy przywołamy niezwykły pojedynek, jaki rozgrywa się na ostatnich kartach trzeciego tomu „Dzienników". Autor „Operetki" staje w szranki nie z kim innym jak z samym Dantem, poprawiając fragment „Boskiej komedii"! Jan Błoński komentując tę literacką rywalizację pyta: „Skąd Dante? Czy Gombrowicz kiedykolwiek zajmował się Dantem?"[10] . Wydaje się, że istotną rolę odegrały tu te same motywacje, które kazały Gombrowiczowi w „Ferdydurke" wyzwać na pojedynek Słowackiego i Mickiewicza - walka toczy się o rząd dusz. W „Dzienniku" pojawia się zaskakujące w ustach Gombrowicza - zdeklarowanego ateisty - wyznanie:

„Poniekąd czuję się Mojżeszem. [...] Ha, ha dlaczego - zapytacie - czuję się Mojżeszem? Sto lat temu litewski poeta wykuł kształt polskiego ducha, dziś ja, jak Mojżesz, wyprowadzam Polaków z niewoli tego kształtu, Polaka z niego samego wyprowadzam..."[11].

Odkrywamy zatem kolejny rys złożonej osobowości autora „Kosmosu": jest nim poczucie misji, posłannictwa, w historii literatury polskiej utrwalone we wzorcu wieszcza. Wciela się więc Gombrowicz także w rolę kapłana, ale innego - bo między-

9 W. Gombrowicz, *Testament*, op. cit., s. 76.
10 J. Błoński, *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, Kraków 1994, s. 165.
11 W. Gombrowicz, *Dziennik*, op. cit., s. 59.

ludzkiego - kościoła. Kapłaństwo rozumiem tu jako przewodnictwo duchowe, zorientowane na utrwalanie bądź stwarzanie pewnych wartości. Słowa Gombrowicza brzmią przecież niekiedy jak pouczenia padające z ambony:

„Cóż mnie obchodzi Mickiewicz? Wy jesteście dla mnie ważniejsi od Mickiewicza. I ani ja, ani nikt inny, nie będzie sądził narodu polskiego według Mickiewicza lub Szopena, ale wedle tego co tu, na tej sali, się dzieje i co tu się mówi. [...] Jesteście jak biedak, który chwali się, że jego babka miała folwark i bywała w Paryżu. Jesteście ubogimi krewnymi świata, którzy usiłują imponować sobie i innym"[12].

Stosunek Gombrowicza do polskości jest równie złożony jak jego osobowość. Kim zatem jest Gombrowicz? Błaznem czy kapłanem, kosmopolitą czy Sarmatą, rewolucjonistą czy konserwatystą? Wydaje się, że każdą z tych ról po trosze i żadną wyłącznie. Jest to element strategii, którą Jan Błoński nazwał dialektyką odrzucenia i przyswojenia, pozwalającą na zachowanie duchowej niezależności. Błazen (ten, który świat dekonstruuje) i kapłan (ten, który wytycza szlaki) uzupełniają się nawzajem. Gombrowicz najpierw poniża i degraduje, aby potem powoli rekonstruować przezwyciężone już formy. Gra jednak idzie nie tylko o indywidualny tryumf nad krępującymi nas schematami. Stawką jest także kształt polskości:

„Sądzę, że jest zupełnie możliwy taki stosunek do narodu, w którym naturalne nasze do niego przywiązanie, ba, nieunikniony i od naszej woli niezależny z nim związek, zostałby uzupełniony odczuciem narodu jako siły niebezpiecznej, przed którą należy się mieć na baczności. Musielibyśmy zrozumieć, że naród (podobnie jak każda zbiorowość) może nas paczyć, i to w najgłębszej naszej istocie. Powinni byśmy tak się urządzić psychicznie, aby być jednocześnie w narodzie i poza narodem - a nawet ponad narodem. Poza i ponad - aby móc stwarzać sobie naród na obraz i podobieństwo nasze"[13].

12 Ibidem, s. 13.
13 W. Gombrowicz, *Trans-Atlantyk*, op. cit., s. 140.

Koncepcja narodu jest konsekwencją Gombrowiczowskiej antropologii. Nie ma on raz na zawsze określonych kształtów, a jego tradycja i kultura są nieustannie ożywiane (a więc się zmieniają!) w procesie twórczej recepcji. Duchowa siła narodu nie jest zatem wartością stałą, zależy od historycznie zmiennej intensywności egzystencji tych, którzy go tworzą.

Walny Zjazd Delegatów Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza w Białymstoku

W dniach 28 - 30 września w Białymstoku odbył się Walny Zjazd Delegatów Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Obrady, odbywające się w gmachu Uniwersytetu w Białymstoku, otworzyła prezes oddziału białostockiego TLiAM, profesor Elżbieta Feliksiak, a następnie wszystkich delegatów powitała prof. Teresa Kostkiewiczowa - prezes towarzystwa.

Pierwszy dzień zjazdu wypełniła konferencja naukowa pt. *Eliza Orzeszkowa - w 160-lecie urodzin.* Jako pierwszy głos zabrał prof. Stanisław Fita, prezentując postać Edmunda Jankowskiego, badacza i edytora dzieł Elizy Orzeszkowej. Następnie bodaj najciekawszy referat sesji przedstawiła prof. Grażyna Borkowska z Instytutu Badań Literackich. W odczycie pt. *Eliza Orzeszkowa - szkic do biografii duchowej* ukazała głębokie pokłady myśli filozoficznej autorki „Nad Niemnem", podkreślając jej związki z romantyczną palingenezą i analogie z dwudziestowieczną psychoanalizą. Prof. Jadwiga Zacharska przedstawiła z kolei problem konfliktu pokoleń w twórczości Elizy Orzeszkowej.

Referatowi Grażyny Borkowskiej dorównywało wystąpienie prof. Józefa Bachórza *Odświętność i codzienność w „Nad Niemnem"*. Gdański uczony wskazał na przedziwną, nieomal mistyczną jedność tych sfer w rzeczywistości Bohatyrowicz. Następnie głos zabrała mgr Iwona Wiśniewska, informując o niewydanych jeszcze pismach Orzeszkowej. Okazało się, że jeszcze kilkaset (!) listów czeka na swego edytora. Zainteresowanie wzbudziło wystąpienie mgr Wandy Boguskiej pt. *Eliza Orzeszkowa i jej twórczość w świadomości uczniów*. Badaczka przedstawiła wyniki ankiety, przeprowadzonej wśród uczniów z Białegostoku, Wilna i Grodna. Okazało się, że w świadomości większości uczniów Orzeszkowa żyje życiem pozornym, sprowadzonym do szkolnych stereotypów,

lub nie żyje wcale. Po przerwie dr Wanda Renik i prof. Elżbieta Feliksiak skupiły swą uwagę na roli Grodzieńszczyzny w życiu i twórczości autorki „Ad astra".

Drugi dzień zjazdu poświęcony był sprawom czysto organizacyjnym. Rozpoczęło go wystąpienie prof. Teresy Kostkiewiczowej, która przedstawiła sprawozdania z działalności Towarzystwa w okresie ostatnich trzech lat - od zjazdu poznańskiego. Delegaci wysłuchali ponadto sprawozdań Komisji Finansowej oraz Rewizyjnej - wszystkie zostały przyjęte. Po dyskusji nad sprawozdaniami udzielono absolutorium dotychczasowemu Zarządowi.

Wybory nowych władz Towarzystwa ponownie zakończyły się sukcesem prof. Teresy Kostkiewiczowej. Po uzupełnieniu składu zarządu o nowych członków rozgorzała dyskusja nad przyszłą formą działalności organizacji. Zwracano uwagę na konieczność wystąpienia z atrakcyjną - zwłaszcza dla młodzieży - ofertą kulturalną i edukacyjną. Delegaci podkreślali, iż jest to warunek *sine qua non* skutecznego oddziaływania społecznego. Program aktywności Towarzystwa powinien zatem powstawać „na dole", w środowiskach lokalnych, których potrzeby łatwiej rozpoznawać i realizować. O tym, że jest to możliwe, przekonuje działalność oddziału gdańskiego, prezentująca się jako szczególnie żywotna i twórcza.

Uczestnicy obrad mieli także możliwość uczestniczenia w licznych imprezach towarzyszących - m.in. w spektaklu w Białostockim Teatrze Lalek (świetne „Parady" według Jana Potockiego) oraz koncercie Chóru Akademickiego Uniwersytetu w Białymstoku. Delegaci opuszczali zatem Białystok pełni podziwu dla gościnności oraz prężności organizacyjnej tamtejszego oddziału Towarzystwa. Kształt działalności oraz skuteczność organizacji będą jednak zależały nie od delegatów, ale od jej członków, a więc przede wszystkim polonistów i historyków oraz - miejmy nadzieję coraz liczniejszych - studentów wydziałów humanistycznych wyższych uczelni.

Jesienie Poezji: Warszawska i Ciechanowska

XXX Warszawska Jesień Poezji miała charakter jubileuszowy. Zainaugurowano ją w samo południe, 11 października, w pięknej sali balowej Zamku Królewskiego poezją Norwida i Herberta. Był też koncert fortepianowy w wykonaniu młodziutkiego, ale jakże wspaniale grającego Chopina Radosława Sobczaka. I choć zabrakło głównej patronki Jesieni Jolanty Kwaśniewskiej, a czytający od niej list wiceprezes OW ZLP Krzysztof Gąsiorowski dwukrotnie zamienił imię prezydentowej na Joanna, to znakomicie brzmiące w zamkowej scenerii dźwięki i strofy wynagrodziły wszystko. - Przeżyliśmy 30 lat, zmianę ustroju, kilkudziesięciu ministrów kultury i prezydentów miasta, i wciąż trwamy - mówił Lesław Bartelski. Jako prezes OW ZLP zainicjował on WJP 25 września 1972 r. dla ok. 50 uczestników. Podczas podniosłego otwarcia XXX WJP Bartelski wręczył obecnemu prezesowi OW ZLP Markowi Wawrzkiewiczowi plakietkę I WJP, prosząc o przekazywanie jej następcom.

Nagrodę im. J. Słowackiego otrzymał w tym roku Janusz Żernicki. Niestety nie zdążył już jej odebrać. Zmarł 7 października (cztery dni po obradach jury), co uczczono minutą ciszy.

W tegorocznej jubileuszowej Jesieni wzięło udział ok. 160 poetów, w tym 116 z Polski, 9 polskich zamieszkałych na obczyźnie; pozostali przyjechali z 16 krajów, m.in. z dalekich Chin i Wietnamu, Izraela, Grecji, Włoch, Norwegii i państw Europy Środkowo-Wschodniej. Literaci warszawscy już od 8 października odbywali spotkania autorskie i lekcje poetyckie w szkołach i innych placówkach stolicy i Mazowsza; inni dołączyli do nich w ostatnich dniach trwającej do 14 października Jesieni. Wszyscy mogli uczestniczyć w dwóch sesjach krytyczno-literackich: „Poezje narodowe a procesy globalizacji" (międzynarodowa) i „Pokolenie lat 60." (polska), trzech wspaniałych koncer-

tach poetycko-muzycznych (z udziałem znanych artystów warszawskich), dwóch galowych wieczorach poetyckich. Zainteresowani mogli też obejrzeć wystawę „Poeci lat 60.", uczestniczyć w turniejach wierszy, uroczystości wręczania dorocznych nagród im. W. Hulewicza, czy wieczorach poezji greckiej i chińskiej. Były też wyjazdy, m.in. do Petrykoz, Pułtuska, Ciechanowa i Opinogóry. Ukazały się wydawnictwa WJP: „Antologia pokolenia lat 90.", specjalny numer miesięcznika „Poezja dzisiaj" (zamieszczono w niej utwory czterech ciechanowskich literatów) oraz jednodniówka „Gazeta poetów" (po raz pierwszy ukazał się w niej tekst o Ciechanowskich Jesieniach Poezji).

Do Ciechanowa i Opinogóry na Ciechanowską Jesień Poezji przyjechało w piątek, 12 października, kilkunastu poetów, w tym trzech zagranicznych: Nicola Gardini (Włochy), Einor Okland (Norwegia) i Bang Viet (Wietnam). Wraz z kilkudziesięcioma poetami miejscowymi odbywali spotkania w szkołach, zwiedzali zabytki, prowadzili warsztaty, pokłonili się Zygmuntowi Krasińskiemu w jego Opinogórze. W Muzeum Romantyzmu uczestniczyli również w rozstrzygnięciu XIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Opina". W tym roku triumfowali w nim poeci z Ciechanowa (wyjątkowo!). Jury przyznało bowiem drugą nagrodę Ewie Stangrodzkiej, trzecią Tomaszowi Wyszkowskiemu, zaś Marianna Olkowska zdobyła nagrodę za tematykę ciechanowską. Wśród dziewięciu wyróżnień aż trzy trafiły do naszego środowiska twórczego: do Zenony Cieślak-Szymanik, Teresy Kaczorowskiej i Artura Maciaka. Jest to wielki sukces, bo na konkurs nadesłano 146 zestawów poetyckich z całego kraju. - Poziom konkursu był bardzo wysoki - zapewnił przewodniczący jury Zdzisław Brudnicki z Warszawy. - Konkurs ma tradycje, jest już w Polsce znany. Widać duch i świadomość wielkich romantyków polskich dotarły do współczesnych poetów.

W oficynie opinogórskiej odbył się też koncert poetycko-muzyczny. Ok. 30 poetów: gości i miejscowych dzieliło się swą twórczością z licznie przybyłymi miłośnikami poezji. Strofy przeplatały wspaniałe pieśni chóru Sine Nomine z Centrum Kul-

tury i Sztuki w Ciechanowie. - To był bardzo udany poetycki dzień - powiedział wieczorem podczas kolacji w kawiarni „Artystyczna" Nicola Gardini, 36-letni poeta, wykładowca uniwersytecki, wydawca „Poezji" we Włoszech. Był drugi raz w Polsce, ale po raz pierwszy spotkał się z polską młodzieżą, i to w Ciechanowie, w ZSZ nr 1. Ujął uczniów swą bezpośredniością i otwartością, zadawali mu mnóstwo pytań, nie chcieli się z nim rozstać. A on tłumaczył: - Jeżeli nie rozumiecie poezji - to dobrze! Ja też się cieszę, gdy czegoś nie rozumiem! To znaczy, że jeszcze dużo mam do odkrycia!

Mamy nadzieję, że to największe święto literackie w roku pozostawi trwały ślad w duszach i sercach, nie tylko poetów. Że goście wywieźli z ziemi ciechanowskiej w świat daleki wieść o jej duchu, jej atmosferę, jej obraz. I że obydwie Jesienie Poezji: Warszawska i Ciechanowska zaświecą wkrótce nowymi strofami poezji i prozy.

Spis treści:

Od redakcji 3

JANUSZ KRÓLIK
Norwida droga do sztuki 7

STANISŁAW KĘSIK
Piętno Norwida 17

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI
Norwid - nauczyciel narodu 18

TERESA KACZOROWSKA
Prawda za drzwiami 38
Do Cypriana 39
Martwa księga 39

JAN BRUDNICKI
Kłopoty Norwida z czynem i ojczyzną 40

MARIUSZ MUSIAŁ
Wielki zbiorowy obowiązek 46

JANINA BONIAKOWSKA
Życie 51
Moje dożywanie I 51
Moje dożywanie II 52
W szpitalu 52
Na krawędzi 53
Kwiaty 53
Ściana 54

ALFRED BORKOWSKI
My ZMP, reakcji nie boimy się 55

TERESA KACZOROWSKA
Wszystko zaczęło się od Heńka 70
Cesarz sprzyja jedności 78

IGOR KANTOROWSKI
Blaszany bębenek 87
Poeta nocą 87
Pokornieję 88
Ogród 88
Niechciane 89
Bezruch 89

STANISŁAW KĘSIK
Lwowska nuta 90

BARBARA KRAJEWSKA
Z różańcem w ręku 91
3 Maja 91
Przypomnienie Drzymały 92
Ręce matki 93
Świt 93
Nie zawsze 94

GRZEGORZ ROSZKO
Brzask 95
W bryle bursztynu 95
Okruchy myśli 95
Requiem dla Z. K. 97
wiersz 97
słowa 98
nawykli 98

JULIUSZ ERAZM BOLEK
Wnuk pomni dzieło 101
Świt 101

Rybo 101
*** 102
Dzwoneczek 102
Siła 102
Miłość 103
Dezynsekcja 106

IZABELLA BOZIK-DEMPNIAK
*** 110
*** 110
Mądrość władcy 110
Podarunek 110
Cykuta 111
*** 111
Naszyjnik 112
Mufka 112
*** 112

JAN BRODAL
Na dole, w rogu... 113
Przez granice 114
Z krainy fiordów 114
Dziś nocą 115
Krajobraz bizantyjski 115

KRZYSZTOF GĄSIOROWSKI
Przebiśnieg i przylaszczka 116
Larwa 117
*** 117
Cztery izdebki... 118
Co byś nie mówił... 119

ZOFIA HUMIĘCKA
Chwila 120
Nieprawda 120

Są takie miejsca 121

HENRYK KACZOROWSKI
Moje przygody z poezją Czesława Miłosza 122

WOJCIECH ŁĘCKI
Bajka o raju 136
Pokłon dla wrogów 136
Powoli 136
Synku 137

ARTUR MACIAK
*** 138
*** 138
*** 139

MAREK PIOTROWSKI
Czas umierać - początek tematu 140
Czas umierać - rozwinięcie tematu 140
Panu Garcii Lorce 142

MARIUSZ STAWICKI
Błazen czy kapłan? Gombrowicz wobec polskości 143
Walny Zjazd Delegatów Towarzystwa Literackiego
im. Adama Mickiewicza w Białymstoku 151

TERESA KACZOROWSKA
Jesienie Poezji: Warszawska i Ciechanowska 153

ISBN 83-915905-0-X